

<http://rcin.org.pl>







# UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH

PRZEZ

ZYGMUNTA SARNECKIEGO.



KRAKÓW.  
NAKŁADEM REDAKCYI „ŚWIATA”.  
1893.

1800

1800

1800

Mieczysławowi Dzikowskiemu  
w upominku serdecznym  
stary kolega  
z Autor.

157

# UROCZE OCZY.

---

Osobna odbitka z dwutygodnika ilustrowanego »Świat«.

---

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki, pod zarz. J. Gadowskiego.



# UROCZE OCZY.

KOMEDYA W CZTERECH AKTACH

PRZEZ

ZYGMUNTA SARNECKIEGO.

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



KRAKÓW.  
NAKLADEM REDAKCYI „ŚWIATA”.  
1893.



OSOBY :

KASZTELANOWA.

MATYLDA, }  
KAROLINA, } jej wnuczki.  
TERENIA, }

PETRONELLA.

SZAMBELAN, mąż Matyldy.

HRABIA, mąż Karoliny.

KSIĄŻĘ ZDZISŁAW.

REJENT.

LUDWIK.

MACIEJ, kamerdyner.

ERAZM, kucharz.

JÓZEF, lokaj.

GRZEŚ, chłopiec stajenny.

Rzecz dzieje się na wsi w majątku Kasztelanowej.

Zastrzegają się prawa autorskie w obec scen polskich.

## AKT I.

Scena przedstawia pokój w domu wiejskim, po staroświecku ale wytwornie umeblowany. W głębi drzwi potrójne oszklone prowadzą do ogrodu. Po lewej stronie dwoje drzwi bocznych; między nimi, nieco od ściany odstawiony fortepian. Na prawo w pierwszym planie okno otwarte na ogród. Za nim po tejże stronie drzwi do dalszych pokoi.

### SCENA I.

TERENIA. LUDWIK.

LUDWIK (z prawej strony, w ogrodzie, zbliża się do okna, opiera się na niem i patrzy z miłością na Terenię, siedzącą i pogrążoną w dumania. Chwila milczenia).

Panno Tereso... Tereniu!

TERENIA (zrywa się przestraszona).

Co to jest? co się stało? (Spostrzegłszy Ludwika).  
Ach! to pan. Jakżeś mnie przestraszył!

LUDWIK.

Przepraszam, bardzo przepraszam. Nie chciałem wyjechać w pole nie powiedziawszy pani dzień dobry. (Po chwili) Tereniu, zbliż się do okna, niech rączki twoje ucałuję.

TERENIA.

Nie, nie. Babunia już wstała, ubiera się, lada chwila może wejść tutaj. Zresztą, gniewam się na pana. Przeraziłeś mnie... i... nazywasz po prostu Terenią.

LUDWIK.

Bo cię kocham, całym sercem kocham, panno Tereso.

TERENIA.

Proszę mi o tem nie mówić.

LUDWIK.

Kiedy muszę. (Po chwili). Moja droga Tereniu...

TERENIA (przerywając).

Znowu Tereniu! znowu Tereniu!... Kara boska! Pan się tak do tego przyzwyczai, że i przy ludziach będziesz mnie Terenią nazywać. Ach! to do prawdy okropne. Przecież ja pana nie upoważniłam...

LUDWIK.

Czyż potrzebuję upoważnienia?... Miłość się odgaduje... a marzenia wspólne, które nas łączą...

TERENIA.

O! dziś nie mów o tem! (Zasłania sobie uszy). Widzisz, że nie słucham... że nic nie słyszę.

LUDWIK.

Wskoczę do pokoju i do uszka ci powiem, że cię kocham, kocham, kocham!

TERENIA.

A ja słuchać nie będę, nie będę, nie będę.

LUDWIK.

Raz, dwa... trzy. Skaczę do pokoju.

TERENIA (przybiegając do okna).

Nie, nie... drogi, kochany panie Ludwiku... jak mi pan dobrze życzysz, nie rób tego.

LUDWIK (całując jej ręce, które pochwycił).

Tereniu złota, jedyna... jak ja cię kocham! — A ty mnie kochasz?... powiedz, czy mnie kochasz?

TERENIA (wysuwając ręce z charakterystyczną szczerą skromnością).

Ja?!... ja pana lubię.

LUDWIK (z żalem).

Tylko lubisz?

TERENIA.

Bardzo lubię.

LUDWIK (prosząc).

Kochaj!

TERENIA.

Nie mogę, nie wolno... Kocham moich, tam...  
(spogląda w niebo) i babunię.

LUDWIK.

Och! babunia... surowa, gdera od rana do wieczora, skąpa...

TERENIA (z oburzeniem).

Panie Ludwiku!... (Po chwili). Babunia jest dobrą, bardzo dobrą. Wychowała mnie... Kiedy byłam małą, wątłą, bardzo chorą, skłonniejszą niż dziś do snów, unoszących nad ziemię, ona z poświęceniem własnego zdrowia czuwała nademną, od śmierci zasłaniała, jak anioł opiekuńczy.

LUDWIK.

Ale teraz...

TERENIA.

Gdyby wiedziała i teraz byłoby to samo. Na szczęście nie wie. Zabroniłam Petronelli zdradzać moją tajemnicę. Proszę źle nie mówić o babuni, bo pogniemy się na całe życie!

LUDWIK (zmięszany).

I ja ją także szanuję i cenię... ale... ale nie uwierzysz, jak mnie nieraz oburza jej postępowanie despotyczne.

TERENIA.

Jesteś pan niewdzięcznikiem! Ona pana przed wszystkimi chwali.

LUDWIK.

Tak, chwali — lecz nieraz, kiedy niespodzianie oczy moje spotkają się z jej wzrokiem, czytam w nim nienawiść...

TERENIA.

Ach! jak przesadza!

LUDWIK.

Wstręt jakiś!

TERENIA.

Wstydz się, wstydz!... Nie daruję tego panu nigdy.

LUDWIK.

Choćbym przeprosił.

TERENIA.

Choćbyś przeprosił... Ale dość już tej rozmowy. Jedź pan do gospodarstwa, ja pójdę do babuni.

LUDWIK (chwyta ją za ręce i całuje).

A kochasz mnie? powiedz... kochasz?

TERENIA (usuwając ręce właściwym sobie sposobem).

Powiedziałam już, że pana bardzo lubię. Czy to nie wyraźnie? (Wymawia z naciskiem). Bardzo lubię.

LUDWIK.

Ja zaś kocham całą duszą — całym sercem kocham!

TERENIA (zasłaniając sobie naprzemian to oczy, to uszy).

Nie słyszę... nie chcę słyszeć!... Nie widzę pana... nie chcę widzieć! (Po chwili opuszcza ręce). Jesteś pan tu jesteś?... Uciekaj czempredzej!

LUDWIK (chwyta opuszczoną rękę Tereni i całuje znowu).

Patrz, patrz... jestem posłuszny... Uciekam. (Odchodzi).

SCENA 2.

TERENIA (sama. — Patrzy przez okno).

Pocziwy!... jak to biegnie, jak się spieszy... Dobryś! masz tobie! wpadł na rabatę z narcyzami. Ulubione kwiatki babuni... Ach! złamał jeden... podeptał świeżo zagrabioną ziemię. (Przerażona). O mój Boże! potknął się o kamień... ledwie się nie przewrócił. (Wybucha prawie dziecięcym śmiechem). Ależ bo jaki niezgrabny!... jaki niezgrabny! (Po chwili). No przecie już jest za furtką... Wsiada na konia uwiązanego do sztachet... Nie patrzy tu, nie widzi mnie... Ręczę, że mnie nie widzi. Chciałabym na niego zawołać. (Wychyla się przez okno i woła cichym, drżącym głosem). Panie Ludwiku! panie Ludwiku! (Uderza się dłonią po ustach). Cicho! jaka ja szalona! (Po chwili). Kłania się... zobaczył!... zobaczył!.. (Odstępuje od okna, ale ciągle w nie patrzy. — Z westchnieniem). Pojechał. (Przechadza się po pokoju. Zaczyna nucić wesołą piosnkę i urywa. Po chwili nuci smutną piosnkę i także nagle urywa). Tak mi się w głowie kręci... tak smutno, tak ciężko na sercu... tak się w oczach mroczy... (Siada na krześle, zakrywa twarz rękami i ciche łkanie wrywa się z jej piersi).

SCENA 3.

TERENIA, PETRONELLA.

PETRONELLA (weszła drugimi lewymi drzwiami, pod pachą plik gazet, w ręku taca ze świeżem pieczywem. Idzie ku pierwszym drzwiom na lewo. Spozstrzega Terenię, stawia tacę na fortepianie, kładzie obok gazety i zbliża się po cichu na palcach do płaczącej. Bierze w dłonie jej ręce i odsłania twarzyczkę).

Co to jest?!... moja sarenka płacze?... co to znaczy?

TERENIA (uśmiechając się, ociera łzy).

Nic, nic Petronelko.

PETRONELLA.

Czy cię babunia połajała?

TERENIA.

Ale nie. Babunia pewno jeszcze nie ubrana.

PETRONELLA.

Gdzie zaś. Widziałam ją, jak szła do stajni.

TERENIA (zrywa się z miejsca).

Widziałas, jak szła do stajni... a to chodźmy, biegnijmy...

PETRONELLA.

Poczekaj-no, poczekaj. Kasztelanowa nie wróci tak prędko, a łyzy twoje mnie niepokoją. Nic nie ukrywaj przedemną. Powiedz, dlaczego płakałaś?

TERENIA.

Bez żadnego powodu.

PETRONELLA.

Może odebrałaś przykry list od Ludwika?

TERENIA (z oburzeniem w głosie).

Ale nie! on do mnie nigdy nie pisuje.

PETRONELLA.

I na cóż by miał pisać, kiedy może z tobą rozmawiać! Zresztą, jak prawdę kocham, czy to mężczyźni listy pisywać umieją, zwłaszcza do takiego niewinnego dziecka!... A ty do niego nie pisałaś?

TERENIA (j. w.).

Bój się Boga, Petronello, co mówisz!

PETRONELLA.

Nie — nie. Wiem, że nie... i dobrze, że nie. Więc powiedz, dla czego płakałaś?

TERENIA.

Sama nie wiem. W nocy dręczyły mnie jakieś straszne mary... Wstałam niespokojna, rozdrażniona... Pomimo, że marzenia senne spłoszył dzień słoneczny,



jakaś zmora wciąż przygniatała mi piersi... Potem nagle, takie wesołe myśli przysły mi do głowy, że śpiewałam i śmiałam się głośno. Przed chwilą nawet zanosilałam się od śmiechu... Później znowu tak mnie coś niespodzianie ścisnęło pod sercem, że usiadłam na krzeselku i rozplakałam się... ale bez powodu... jak cię kocham, bez żadnej przyczyny.

PETRONELLA.

Powiedz-że mi, co ci się śniło, ty... ty mała lunaticzko?... bo chociaż snom wiary nie daje, ale przyznać muszę, że są rzeczy na niebie i na ziemi... (Urywa i po chwili pyta żywo z wielkiem zajęciem). No, powiedz prędzej, co ci się przysniło?

TERENIA.

Śniło mi się, że leżę nieżywa na mojem łóżeczku, w białej pościeli...

PETRONELLA.

Czekaj, czekaj sarenko. Mam tu przy sobie sennik. (Sięga głęboko do kieszeni i wydobywa z niej małą, mocno zabrukaną książeczkę).

TERENIA.

O! sen dzisiejszy nie ma żadnego znaczenia, chociaż mnie zmęczył i rozdrażnił nieco. (Marząc). Bo widzisz bywają sny anielskie... i zwykłe, ludzkie. Nie prorokuj napróżno... (z uśmiechem) prorocstwom twoim nie uwierzę.

PETRONELLA.

Och! dziecino moja, jak prawdę kocham, wszakże to tylko zabawka... facecya i nic więcej!... Pościel mówisz? pościel? (czyta w książeczce). »Pościel — przybycie gości«. (Mówi). No, opowiadaj dalej laleczko najdroższa.

TERENIA.

Ubrano mnie w muślinową sukienkę, przyniesiono trumnę...

PETRONELLA.

Zaczekaj! (Przerzuca kartki). Trumna... trumna. (znajduje i czyta). »Trumna — niespełnione zamiary«. (Mówi do siebie szeptem). Ale jakie, jakie?

TERENIA.

Babunia zbliżyła się do mego łóżka. Była bardzo zmieniona... pocałowała mnie w czoło...

PETRONELLA.

Zatrzymaj się. (Szuka w książeczce). Pocałunek... jest! (czyta) »Pocałunek. Śnić o pocałunkach, znaczy być zdradzoną przez ukochaną osobę«.

TERENIA.

Potem włożono mnie do trumny, zakryto wiekiem... czterech ludzi uniosło ją na ramionach... Nagle trumna zaczęła lecieć ze mną w przepaść...

PETRONELLA (szukając w senniku).

Przepaść... przepaść...

TERENIA.

Rozbijała się o skały, drzewa, kamienie...

PETRONELLA (czyta).

»Przepaść — małżeństwo!«

TERENIA.

Trumna pękła na dwoje, a ja z niej wyleciałam... i przebudziłam się zmęczoną okropnie. Dlatego może jestem dziś taka dziwna... Śmiałam się bez powodu, płakałam bez przyczyny.

PETRONELLA.

No, no... jak prawdę kocham, nie ma nic złego w twoim śnie sarenko. Będzie po łzach wesele... tylko nie wiem czy z Ludwikiem.

TERENIA (niezadowolona).

Czego mnie nim prześladujesz?

PETRONELLA.

Bo, jak prawdę kocham, masz się ku niemu dziecino, a to rzecz niebezpieczna. Nie wiem, czy babunia zezwoli... Ale poczekaj, poczekaj, mam tu przy sobie karty. (Sięga głęboko do drugiej kieszeni i wyjmuje talię kart). Postawię ci kabałę. Zobaczymy, czy święty Antoni Padewski przeznacza ci go na oblubieńca.

KASZTELANOWA (za sceną. — Głos oddalony).

Tereniu!

PETRONELLA (chowa szybko karty do kieszeni).

Oj! później... potem. (Gazety chowa pod pachę i chwytą za tacę). Gdyby kasztelanowa czego potrzebowała, to mnie zawołasz. Przejrzę gazety w jadalnym pokoju, bo jeszcze o Anglii nie doczytałam do końca. (Wychodzi szybko pierwszemi drzwiami na lewo).

KASZTELANOWA (za sceną. — Głos bliżej).

Tereniu!

TERENIA (biegnie do drzwi oszklonych w głębi, za którymi ukazuje się Kasztelanowa).

Słucham!... jestem babciu!

#### SCENA 4.

KASZTELANOWA, TERENIA.

KASZTELANOWA (widocznie roznerwowana — z narcyzem w ręku).

Kto skakał po rabatach? Kto moje narcyzy, moje ulubione narcyzy połamał?... Kto?... powiedz, proszę.

TERENIA (bardzo zmieszana).

Kochana babuniu...

KASZTELANOWA.

Patrz mi prosto w oczy. Kto?... powiedz...

TERENIA (ciągle zmieszana, jąka się).

Ja... babuniu... widziałam... ja chciałam...

KASZTELANOWA.

Odgadłam od razu, że ty. Któżby inny!... Nie spuszczaaj oczu w ziemię... Przebaczam... już się nie gniewam. — Cóż to?... nawet mi dzień dobry jeszcze nie powiedziałaś!... Powiesz mi dzień dobry, czy nie?

TERENIA (całując babkę w rękę).

Dzień dobry babuniu... Nie chciałam... przepraszam...

KASZTELANOWA (uderza ją lekko ręką po twarzy).

Oj! ty, ty, nic dobrego. Taka duża panna... Wstyd!... (W ciągłym ruchu, nerwowa. — Wyjmuje telegram z kieszeni). Odebrałam telegram. Obie twoje siostry dziś przyjeżdżają... z mężami.

TERENIA.

O dla Boga!

KASZTELANOWA.

Posłałam już po nich konie do stacyi kolei żelaznej. Za godzinę przybędą. Zajmuje mnie to i... (z westchnieniem) porusza. A ty nie cieszysz się, że je zobaczysz?

TERENIA.

Cieszę się... to jest nie... ach! mój Boże!... albo ja wiem. Babciu, ja się ich trochę boję... nawet bardzo. One takie wielkie damy!

KASZTELANOWA.

A ty taki kopciuszek. (Całuje ją w czoło, przechadza się i mówi po chwili). To przybycie, którego pragnęłam... i mnie wyprowadza ze zwykłego usposobienia. (Roztargniona). Niespokojna jestem... niecierpliwa, rozdrażniona. (Przechadza się.—Po chwili). Mów co do mnie, Tereniu. (Chodzi ciągle).

TERENIA.

Dobrze babciu. (Po namyśle, cichszym głosem). Ale o czym?

KASZTELANOWA (zadumana, jakby sama z sobą rozmawiała).

Dawne lata... stare wspomnienia, same smutki i żaloby... Całe życie cierpień i zgryzoty... (Staje nagle, jakby przebudzona). Mów co do mnie! (Terenia chce mówić i nie wie co). Rozerwij przykre myśli. (Popada znowu w zadumanie i chodzi). Kasztelan... mąż... kraju niedola i rodziny niedola... córka... zięć... (Po chwili). W kilka dni po urodzeniu Tereni, biedna Amelia...

TERENIA (szepciem).

Moja matka...

KASZTELANOWA.

Poszła do lepszego świata. — Szczęśliwa!

TERENIA (po cichu).

Biedna mama!

KASZTELANOWA (która dosłyszała, staje przed Terenią).

A ja, czy nie biedniejsza?!

TERENIA (z bólem).

O!

KASZTELANOWA (w ciągłym ruchu).

Pozostawiła dwie sieroty: mnie i ciebie. Siostry twoje, tak Matylda jak Karła, były już zameżne. Zjechały na pogrzeb, zabawiły tydzień i pojechały. Zdaje mi się, że nie mówiłam z niemi nawet. Przypominam sobie tylko, że ubrane były w czarne, żałobne suknie... i... że rzewnie płakały.

TERENIA (postępuje za Kasztelanową).

A ojciec mój, babuniu?

KASZTELANOWA (zatrzymuje się i patrzy na nią).

Podobny do ciebie, jak dwie krople wody. (Po chwili). Zacny człowiek. (Przechadza się znowu). Ojciec twój, porwany zawieruchą, musiał pójść z innymi... daleko. Umarł na obcej, niegościnnej ziemi. Nie pożegnałyśmy go, ani ja stara, złamana boleścią i cierpieniem, ani

ty, wówczas malutka. Nie mogłyśmy za nim podążyć. Nie rzuciłyśmy mu na trumnę grudek zmarzłej, ołowiem przepełnionej ziemi. (Zatrzymuje się przed Terenią łkającą cicho). Łzy płyną ci po twarzy. Patrz, ja mam oczy suche. Tyle się napłakałam, że już płakać nie mogę. Skamieniałam. — Terenia pewno nieraz mówi: jaka ta babunia zła, jaka surowa... jak mi ta stara babka dokucza...

TERENIA (rozczulona, całując jej ręce).

Och! nie... nie babciu moja droga.

KASZTELANOWA.

Przynajmniej myślisz tak niezawodnie; ale stara babka wie co robi, więc robi swoje. (Po chwili). Otrzeź oczy i weźmy się do przygotowań na przyjęcie gości. Powiadają, że jestem skąpa... no tak, jestem oszczędna... bardzo oszczędna, bo tak chcę; ale dziś niczego żałować nie będę. Przyjmiemy przybyłych wspólnie, jak nas stać na to... bo rozumiesz Tereniu, mnie stać nawet na zbytki.

TERENIA (obojętnie).

Dobrze babciu.

KASZTELANOWA.

Zawołaj mi Macieja i Petronellę. (Siada na fotelu po prawej).

TERENIA.

Dobrze babuniu. (Idzie do drzwi drugich na lewo i woła). Macieju! (Później do drzwi pierwszych po tejże samej stronie). Petronelciu! (Maciej i Petronella wchodzą).

SCENA 5.

CIŻ SAMI, PETRONELLA, MACIEJ, później ERAZM.

PETRONELLA (przy drzwiach po cichu do Tereni).

Czy pani kasztelanowa w dobrym humorze? czy się nie gniewa?

TERENIA (po cichu).

Nie, nie. (Petronella chyłkiem koło fortepianu cofa się w głąb, żeby się nie spotkać ze wzrokiem siedzącej i znowu w dumaniu porażonej Kasztelanowej).

MACIEJ (z głębi migami przywołuje Terenię, a gdy ta się do niego zbliżyła, pyta po cichu).

Panienko, czy to babunia mnie wołała?.. a nie gniewa się o co?

TERENIA (j. w.).

Nie, nie.

MACIEJ (odetchnąwszy głęboko).

Dzięki Bogu. (Mimiczna gra między Petronellą a Maciejem. On jej, ona jemu wskazuje, żeby się pierwszy zbliżył do Kasztelanowej. Nakoniec stary kamerdyner rusza naprzód, jakby się skradał, powoli, na palcach. Stanąwszy wreszcie przed Kasztelanową mówi).  
Co jaśnie pani rozkaże?

KASZTELANOWA (jakby zbudzona ze snu).

Ha! jesteś... dobrze. (Po chwili). A panna Petronella, czy przyszła?

PETRONELLA (przybiega żywo, staje przy fotelu kasztelanowej i mówi niezmiernie szybko).

Jestem, jestem. Całuję rączki pani kasztelanowej. Przeczytałam już wszystkie gazety, jak prawdę kocham, mogę zatem wyrecytować moje codzienne sprawozdanie.

KASZTELANOWA.

Dziś nie potrzeba.

PETRONELLA (w uniesieniu nie zważa i pytuje dalej).

Salisbury miał mowę w Manchester, która wywarła silne wrażenie w Anglii i na kontynencie. Gladston się wścieka na Chamberlaina z powodu obstrukcyi w sprawie bilu irlandzkiego. Prawda przede wszystkim, muszę więc dodać, że *Nord Allgemeine Zeitung* i oficjalna *Post* żartują sobie...

KASZTELANOWA (przerwywając).

Ależ moja panno Petronello dziś nie chcę słyszeć o polityce.

PETRONELLA (j. w.).

Ani nawet o Bismarcku? (Kasztelanowa porusza głową). Rozstąp się ziemio, jak prawdę kocham!... pani kasztelanowa jeszcze kawy nie piła i polityka jej dziś nie zajmuje! Czy pani kasztelanowa przypadkiem nie chora?

KASZTELANOWA (surowo).

Panno Petronello zamilcz z łaski swojej.

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham... (Kasztelanowa spogląda na nią groźnie. — Petronella się cofa). Już milczę, już milczę... Nie powiem ani słówka.

KASZTELANOWA.

I dobrze zrobisz moja panno Petronello. (Pochwili). Słuchajcie. Dziś przyjeżdżają nasze starsze panienki... (poprawia się) chciałam powiedzieć...

MACIEJ (z ukłonem).

Rozumiem: pani hrabina i pani szambelanowa.

PETRONELLA (na str. do Tereni).

A co, czy nie mówiłam, że goście przyjadą. Jak się pościel śni... goście niezawodni.

KASZTELANOWA.

Potrzeba wspaniale przyjąć... wystąpić. Niech panna Petronella będzie tak łaskawa zawołać Erazma.

PETRONELLA.

Lecę! (n. str.) Będzie łaskawa... (ze zdziwieniem poruszając głową) będzie łaskawa!.. No, no, koniec świata, jak prawdę kocham. (Wychodzi głębia).

KASZTELANOWA (która szukała kluczy w kieszeni).

Proszę Macieja wyjąć srebra i piękną, holender-



ską, stołową bieliznę. (Dając klucze Tereni). Tereniu masz klucze od wielkich szaf w moim sypialnym pokoju. Otworzysz i wydasz.

TERENIA.

Dobrze babuniu. Czy wszystko?

KASZTELANOWA.

Wszystko: wazy, półmiski, kandelabry, nawet cebrzyki do zamrożenia szampana. Rozumiesz. — Maciej zejdzie do piwnicy. (Podaje mu kartkę). Spisałam tu wina, jakie przynieść należy.

MACIEJ (odbierając kartkę).

Jak za życia nieboszczyka ś. p. kasztelana.

KASZTELANOWA (spokojnie i poważnie).

Jak za życia ś. p. kasztelana. (Po chwili). Grzesia ze stajni wiaść do kredensu. Potrzeba go przyodziać. Zdejmiesz liberyę z kołka, co wisi w garderobie. Terenia ci otworzy. Czy wiesz, który klucz, Tereniu?

TERENIA (pokazując jeden klucz z pęka trzymanego w dłoni).

Wiem babciu... o, ten.

KASZTELANOWA.

Tak, ten. (Do Macieja). Grzesia zatem w liberyę ubierzesz... Maciej także się wyświeży, zgoli tę szkaradną brodę, włoży frak, biały krawat... rękawiczki.

MACIEJ.

Dobrze, jaśnie pani.

KASZTELANOWA.

Dwóch was jednak do usługi za mało. Kogo by tu wziąć więcej?

MACIEJ.

Proszę jaśnie pani, szczęśliwie się przytrafia. Dziś właśnie przyjechał mój syn, Józef. Stracił miejsce w Chodorowie, bo państwo wydzierżawili majątek i wyjechali za granicę.

2\*

KASZTELANOWA (przypominając sobie).

Józefek!... twój mały Józefek?

MACIEJ.

E! proszę jaśnie pani już urósł. Duży chłop, większy odemnie...

KASZTELANOWA.

To dobrze. Niech zostanie; przyjmuję go. O zasługach pomówimy wieczorem... Spodziewam się, że zbyt wiele wymagać nie będzie.

MACIEJ (kłaniając się ręką do stóp Kasztelanowej).

Zgodzić się, zgodzi; tylko nie ma liberyi ani fraka. Nie wiem, jak go ubrać.

KASZTELANOWA.

Jakoś to będzie; damy temu radę. (Wchodzi Petronella i Erazm). Dobrze, żeście przyszli nareszcie. Przynieście mi (Petronella się porusza) Maciej z Erazmem, z mego sypialnego pokoju kufer obity cielecą skórą. Stoi pod gotownią. (Maciej i Erazm wychodzą na prawo). Panna Petronella niech dziś nic kucharzowi nie żałuje. Proszę wydać wszystkiego suto, obficie...

PETRONELLA.

Oho! jak prawdę kocham, ja go znam. On mi całą spiżarnię i apteczkę zabierze. Człowiek bez żadnej kalkulacyi i umiarkowania.

KASZTELANOWA (żywo i ostro).

Niczego nie szczędzić! (Po chwili). Rozsądek wskaże co można i potrzeba, a co zbyteczne. (Maciej i Erazm wnoszą kufer. — Kasztelanowa rozdrażniona, prawie gniewna). Ach nie ten. W tym znajdują się rzeczy ojca panienek. Stał na wierzchu... Prawda, że na wierzchu?

MACIEJ.

Tak, jaśnie pani.

KASZTELANOWA.

Przynieście drugi... z pod spodu... większy. (Maciej i Erazm zabierają kufer i wychodzą. Kasztelanowa patrząc za odchodzącymi, zwraca się ku Tereni). To nasze najdroższe relikwie... pamiątki, które dla ciebie strzegę.

TERENIA.

Babciu moja droga, jakaś ty dobra! (Całuje jej rękę). Ach! ręce twoje takie gorące; widocznie jesteś bardzo wzruszona.

KASZTELANOWA.

To nic, nic... to tylko tak przed ich przybyciem. Jutro się uspokoje. (Maciej i Erazm wnoszą drugi kufer). No! przecie znaleźliście. Ten... ten właśnie. Tereniu podaj mi klucze. (Wybiera klucz z podanego jej przez Terenię pęka). Macieju, masz... otwórz. (Oddaje klucz kamerdynerowi).

MACIEJ (przyklęka i otwiera kufer).

Garderoba nieboszczyka ś. p. kasztelana. (Zaczyna wyjmować ubrania męskie jedno po drugim).

TERENIA (do Petronelli. — Obie oddalone trochę od grupy kasztelanowej i Macieja).

A to dla babci nie relikwie?

PETRONELLA (po cichu do Tereni).

Och! broń Boże!... Oszukiwał ją, zdradzał, zabrał całe życie. Kasztelanowa nie była nigdy szczęśliwą, dla tego można się nie dziwić, że często bywa nieznośna...

TERENIA (j. w.).

Bój się Boga, nie mów takich wyrazów o babci.

PETRONELLA (j. w.).

Kiedy, jak prawdę kocham, tak czasem dokuczyl...!

KASZTELANOWA (ciągle siedząca i pochylona nad kufrem).

To co masz teraz w ręku Macieju, to zdaje się frak szafrowy?

MACIEJ.

Tak, proszę jaśnie pani. Trochę pocięty przez mole, ale jak się przewietrzy, oczyści, naprawi...

KASZTELANOWA.

Położ tu koło mnie na krześle. (Maciej kładzie). Teraz zamknij kufer na klucz. (Maciej zamyka). Czy dobrze zamknięty? na dwa spusty?

MACIEJ.

Na dwa spusty.

KASZTELANOWA.

Daj mi klucz. (Odbiera klucz). Zanieście kufer na miejsce. (Maciej z Erazmem wynoszą kufer. Kasztelanowa spogląda na leżące obok niej ubranie). Stary frak... ślubny frak. Przypomina mi dawne (z westchnieniem) smutne dzieje. (Po chwili). Mole z niego wylatują. (Chwyta rękami mole w powietrzu). Ach! nie każdego w życiu tak schwytać zdołałam, a wszystkie gryzły mi serce srożej, niż ten co toczył weselną odzież świętej pamięci kasztelana. Świętej pamięci! (Śmieje się gorzkim, ale cichuteńkim śmiechem). Świętej pamięci! (Łapie innego mola w powietrzu). A tuś mi szkodniku!... Świętej pamięci! (Z ironicznego śmiechu przechodzi w rzewny smutek, pochyla głowę na piersi i szepcze). A światłość wiekuista niechaj mu świeci i niech odpoczywa na wieki.

TERENIA (która się w nią wpatrywała, klęka przy niej wzruszona).

Babciu droga!

KASZTELANOWA (jakby się nagle ze snu zbudziła, patrzy chwilę na Terenię nieprzytomnie, potem powraca do zmysłów, powstaje, łączy klucz od kufra z całym pękiem i oddaje Tereni).

Idź moje dziecko, idź. Wydaj srebra i bieliznę stołową. (Maciej z Erazmem wracają).

TERENIA (która razem z babką powstała).

Chodź ze mną Macieju.

MACIEJ.

Dobrze, proszę panienki. (Terenia i Maciej wychodzą na prawo).

KASZTELANOWA (do Erazma, podając mu ćwiartkę zapisanego papieru, którą wyjęła z książki kucharskiej, leżącej na stole).

Erazm ma tu cetlę. Naprzód śniadanie; za godzinę. Wieczorem, o ósmej, obiad. Ma być dobry, suty, smaczny... na dziesięć osób.

ERAZM (na twarzy bardzo czerwony; tradycyjalny ubiór kucharski).

Kiedy, o ile słyszałem, cztery nam tylko przybywa; domowych zaś mamy także czworo... to kalkulując dwa razy dwa... nie! dwa razy cztery... wypadnie osiem, a nie dziesięć.

KASZTELANOWA (stanowczo, surowo).

Na dziesięć powiedziałam.

ERAZM (wzrokiem przebiegając cetlę).

Dobrze... dobrze!... ale jak mi panna Petronella nie wyda wszystkiego co potrzeba... a kalkuluję, że dużo będzie potrzeba... to ja za nic nie rękę.

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, już nawet przy pani kasztelanowej wydziwia, a co to będzie, kiedy sam ze mną zostanie.

KASZTELANOWA (j. w.).

Panna Petronella wyda wszystko. Już kazałam. (Zmieniając ton mowy). Erazm pokaże co umie. Goście tacy co to potrafią poznać się... i ocenić kuchmistrza. Erazm rozumie. Erazm przyjdzie po obiedzie na kieliszek starego wina i po dukata... chciałam powiedzieć po pięć złotych w srebrze.

ERAZM (uśmiechając się z niskim ukłonem).

Jaśnie pani... kalkuluję... powiedziała dukata.

KASZTELANOWA.

Niech-że będzie i dukata, ale Erazm musi się popisać.

ERAZM.

Jaśnie pani może być spokojną. Kalkuluje, że nie zawstydzimy się przed gośćmi. Człowiek nie dzi siejszy, jak potrzeba to i lody z pieca dać potrafi. Ś. p. kasztelan bywało powiada do mnie...

KASZTELANOWA.

Wiem... wiem. Niech się Erazm śpieszy.

ERAZM.

Lecę do klucznicy, potem duchem wracam do panny Petronelli. Kalkuluje, że wszystko w mig będzie gotowe. Całuję nogi, jaśnie pani. (Kłania się i wychodzi).

KASZTELANOWA (wskazując na frak).

Panna Petronella frak przewietrzy, wytrzepie, oczyści...

PETRONELLA (mocno zdziwiona, bierze jednak frak do ręki).

Ten frak?!

KASZTELANOWA.

Nieinaczej. Potem odda go Józefkowi i dopilnuje, aby nakryto do śniadania. Chcę, aby goście nie czekali i chwili.

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham... frak i śniadanie... nie zdążę pani kasztelanowo, nie zdążę.

KASZTELANOWA (rozdrażniona).

Proszę mi się nie sprzeciwiać i zrobić jak powiedziałam. (Wychodzi).

SCENA 6.

PETRONELLA (sama).

Tyran! despotka!... Ja mam fraki po starym rozpustniku przewietrzać. (Wącha). Pfe! czuć stęchlizną! (Przygląda się). A jaki pocięty przez mole! (Pochwili). Ha! weźmy się do roboty. (Idzie po trzcinę, leżącą w głębi pokoju na jednym z mebli). Miła manipulacya, jak prawdę kocham. (Zbliża się do okna, trzymając w jednej ręce frak, w drugiej trzcinę). Trzepmy więc. (Trzepie). Co za upokorzenie! (Trzepie znowu). Ach! gdybym mogła cały ród męski tak wytrzepać! (Trzepie niezmiernie szybko i gwałtownie). Dosyć!... bo mi ten gałąn jeszcze w rękę się rozleci. (Wychodzi na środek pokoju, podnosi frak w górę i zaczyna go na wszystkie strony oglądać).

SCENA 7.

PETRONELLA, REJENT.

REJENT. (Wchodzi głębią. — Siwy, stary, ale bardzo przystojny mężczyzna. — Ton mowy dobrodusznie żartobliwy, a niekiedy złośliwy i uszczypliwy, w scenach zaś dramatycznych głęboko rzewny).

Do stóp panny Petronelli dobrodziejki się ścielę. Co to?... czy panna Petronella frak przywdziać zamierza?... może w celu uczczenia mojego przybycia?

PETRONELLA.

Że też pana rejenta zawsze żarty się trzymają. Jak prawdę kocham, kasztelanowa kazała mi to próchno przewietrzyć... Spodziewamy się gości.

REJENT.

Wiem. I ja zaproszony.

PETRONELLA.

Nie słyszałam kiedy pan rejent zajechał.

REJENT.

A bo wysiadłem przed stajnią i do dworu przyszedłem pieszo.



PETRONELLA.

Starokawalerskie nogi widzę, Bogu dzięki, zdrowe.

REJENT.

Służą jeszcze jako tako, choćby puścić się mazura z panną Petronellą. Ale... pi, pi, pi, jak pani ślicznie wygląda! Dali Bóg, gdybym był młodszy, gotówbym się rozkochać.

PETRONELLA.

Oho! zkaąd taka łaska!... Wiem, wiem: komplementa, konfitury, galaretki. Tylko, że ja już nie łakoma. Karmiono mnie słodyczami (pokazuje na zęby) a pomimo to zębów nie straciłam. Et! wolne żarty... A czy to przed dwudziestu laty, jak prawdę kocham, nie smałeś do mnie cholewek, panie rejencie, jak inni!

REJENT.

No, to proszę mi szczerze powiedzieć, oprócz mnie, wielu innych było?

PETRONELLA.

Jakto wielu?

REJENT.

Zakochanych... tylko zakochanych.

PETRONELLA (z radością).

Na wołowej skórze by nie spisał...

REJENT.

E!

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham. Kasztelan się umizgał, ale się poparzył... Przyprasowałam mu kiedyś ręce gorącym żelazkiem. A pani kasztelanowej się zdawało... Boże!

REJENT.

E! e!... nie wiedziałem o tem.



PETRONELLA.

Kto tylko przyjechał, to zawracał oczami, ale rozumiałam, do czego to zmierza. Byłam ubogą i jak to mówiono wówczas: na respekcie. Nikt nie myślał się ożenić, chociaż z Kudasińskiej się rodzę, a ojciec dziedziczną wioskę przegospodarował. Ot! i pan, nieprzymierzając, panie rejencie — a nie byłeś jeszcze takim bogaczem, jak dzisiaj — zalecałeś się wprawdzie, ale do ołtarza to i w cztery woły nie dałbyś się zaciągnąć.

REJENT (z mimowolnem westchnieniem).

Ba!... co innego miałem na myśli.

PETRONELLA.

Więc zostałam starą panną. Chciało się umizgusom-filutom romansów, figielków, zakazanego owocu... Dostali figę.

REJENT.

A panna Petronella po dziś dzień rutkę sieje.

PETRONELLA (z przekąsem).

No, i pan rejent musiał sporo arbuźów nazbierać, kiedy dotąd bez pary.

REJENT.

Inna rzecz stary kawaler... inna...

PETRONELLA (sens kończąc).

Stara panna. Rozumiem. Cóż to rejentowi się zdaje, że zuch taki jak ja, to już nie może się obejść bez męża albo kochanka?

REJENT.

Mnie się nic nie zdaje.

PETRONELLA (wybuchając).

A bo z pana rejenta Bismarck drugi, farmazon, wolnomyślny, rozpuśtnik, jak ś. p. kasztelan, z którym

pewno razem hulaliście, baraszkowali, zwodzili i uwodzili. Ot! tylko dziw istotny, że kasztelanowa, co wszystkich, z którymi mąż się zadawał lub przestawał nienawidzi, pana wciąż obserwuje, weneruje i przyjaźnią zaszczyca.

REJENT (z uśmiechem).

Bo rozumna kobieta.

PETRONELLA.

Rozumna... ale!

REJENT.

Panna Petronella się gniewa, a ja dali Bóg obrazić nie chciałem.

PETRONELLA.

Czy na prawdę?

REJENT.

Klnę się na wszystkie świętości.

PETRONELLA (łagodnie).

Oho! znam ja rejenta: polityk, dyplomata, ambasador, minister, istny premier!

REJENT (z uśmiechem).

Gazety ciągle w robocie?

PETRONELLA.

Ach! uczę się ich codzien nieledwie na pamięć, aby kasztelanowej opowiedzieć, co w dziennikach stoi. Sama czytać nie może dla osłabionego wzroku, a nie lubi słuchać ani mego, ani Tereni czytania. W czasie lektury usypia albo myśli o czem innem, o czemś smutnem. Wszystko ją jednak obchodzi co się w świecie dzieje. Patryotka gorąca... szczerze. A proszę posłuchać co za konjunktury wyciąga z polityki! Jak prawdę kocham, niech się w kął schowają wszyscy redaktorowie.

REJENT (poważnie).

Rozumna i zacna...

PETRONELLA.

Zacna, bo zacna, ale sroga i dziwaczna czasami, że Boże zmiłuj się.

REJENT (j. w.).

Zkąd u licha taka osoba mogła pozwolić na związek dwóch starszych wnuczek z szambelanem i hrabią! I jeden i drugi nie nasze, nie polskie duchy.

PETRONELLA.

Oj! nie. Ale przed dwudziestu laty inną oni piosenkę śpiewali. Otumanili kasztelanową. Zresztą arystokratka, strasznie dumna, za byle kogo Madzi i Karolci wydać nie chciała.

REJENT.

Nie taka ona dumna, jak się wydaje, chociaż szanuje tradycję rodową. Ceni przedewszystkiem za sługę, krew przelaną za ojczyznę...

PETRONELLA.

To prawda.

REJENT.

A przytem czyż doświadczenie własne nie powinno było jej nauczyć, że nie z każdego drzewa da się dobry mąż wystrugać. Kasztelanice...

PETRONELLA (oglądając się na wszystkie strony).

Kasztelanice... powiadasz rejencie...

REJENT.

To przecie nie sekret. Kasztelanem tytułowano go przez grzeczność... Chociaż pan z panów nie był przecie wzorowym mężem...

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, nie. Tylko dobry Polak. Karku nigdy nie ugiął i Moskalom się nie łąsił; ale

za ładnym buziakiem to by i w piekło poleciał. Póki było sąsiedztwo, póki szlachta okoliczna nie zbankrutowała i nie wyniosła się do miasta, we wszystkich sąsiadkach się kochał.

REJENT (smutnie).

O!... chyba nie we wszystkich.

PETRONELLA.

Ma się rozumieć... wyjąwszy tych, które pan rejent ubóstwiał.

REJENT (niezadowolony, sucho).

Nikogo nie ubóstwiałem.

PETRONELLA.

Czy tak?... Ja przecie nie plotkarka, a chociaż dużo się domyślałam, mało mówię.

REJENT.

Lepiej byłoby nic nie mówić.

PETRONELLA.

A kto mnie przed chwilą ciągnął za język?

REJENT.

Nie ja...

PETRONELLA.

Oj! filut z reagenta, jak prawdę kocham. Istny Cavour!... Ale co to chciałam powiedzieć... aha!... przypuszczam, że jeśli kasztelanowa tu pana sprowadziła w dzień, w którym tamci przyjeżdżają, to aby o losie Tereni radzić. Ja się do mojej sarenki przywiązałam, ją jedną na świecie kocham, bo dla mężczyzny serca mieć nie warto! Gdyby zatem o nią chodziło, to proszę mnie pytać. Wszystko powiem, wszystko wyjaśnię, jak na spowiedzi. Gdybyście mi Terenię skrzywdzić chcieli, jak prawdę kocham, oczy bym wydrapała.

REJENT (znowu żartobliwie).

I mnie nawet ?

PETRONELLA (następując na rejenta, który się cofa).

Rejentowi pierwszemu ...

REJENT (j. w.).

Ładna byłaby historia, panna ...

PETRONELLA (z gniewem).

Chciałeś powiedzieć: stara panna.

REJENT (j. w.).

No, nie pierwszej młodości... drapiąca starego kawalera.

PETRONELLA (prawie ze łzami).

Ależ ja nie żartuję, kiedy chodzi o Terenię. Dali-pan, przecież człowiek nie z żelaza, coś lub kogoś kochać musi. Inne kochają psy, papugi, nawet świnki morskie... ja kocham dziecko, które wychowałam.

REJENT (poważnie).

Uspokój się panno Petronello... i ja w tym względzie żartować nie myślę. Dali Bóg, jestem przecie, nie chwałac się, uczciwy człowiek.

PETRONELLA.

To też na to liczę.

KASZTELANOWA (za sceną).

Panno Petronello!

PETRONELLA (przykładając palec do ust).

Cicho! sza! jak prawdę kocham... (Zwracając się w stronę głosu kasztelanowej). Lece, biegnę! (Chwyta frak pod pachę i wybiega. — Widać, jak za szklanymi drzwiami spotyka się z kasztelanową, która zatrzymuje ją chwilę, wydając po cichu jakieś polecenia).

SCENA 8.

REJENT, KASZTELANOWA.

REJENT (do siebie, patrząc przez drzwi na kasztelanową).

Oho! dawno jej nie widziałem w takim stanie. Ręce drżą, rumieniec wypalony na bladej twarzy. Widać, że sobie przymus zadaje.

KASZTELANOWA (wchodzi).

Jak się masz rejencie.

REJENT (całując jej rękę).

Zdrów, jak zwykle, do usług pani kasztelanowej.

KASZTELANOWA (idzie do okna).

Tylko co ich nie widać. (Po chwili). W ważnych interesach zawezwałam cię dziś stary przyjacielu.

REJENT.

To też, jak najspieszniej przybyłem.

KASZTELANOWA.

Mało mamy teraz czasu do pomówienia, ale kiedy już przyjadą i rozgoszczą się, znajdziemy niezawodnie chwilę swobodną. (Przechadza się roznerwowana). Może potrzeba będzie spisać testament...

REJENT.

O! pani kasztelanowo dobrodziejko, to rzecz nie pilna.

KASZTELANOWA.

Przeciwnie: pilna, bardzo pilna. Jestem stara, zmęczona życiem, bliska grobu...

REJENT.

Pozwoli pani, że zaoponować muszę...

KASZTELANOWA (przerywa mu gestem, pełnym niecierpliwości).

Daj pokój! (Po chwili). Konieczność porozumienia się z siostrami i szwagrami Tereni sprawiła, że zapro-

siłam, sama zaprosiłam, pojmujesz rejencje... muszę zatem przyjąć ich grzecznie, uprzejmie... A trudno mi to, trudno!

REJENT.

Rozumiem, pani kasztelanowo dobrodziejko.

KASZTELANOWA.

Obowiązek nakazywał, więc się nie wahałam. — Będziesz musiał układać się z nimi. — Pomówimy o tem później... szczegółowo. — Dodam jeszcze do dawniej wypłaconych posagów po sto tysięcy... może po dwakroć... ale cały majątek przypadnie Tereni w udziale. Muszą się zrzec wszelkiej dalszej sperandy, pokwitować formalnie... Nie chcę, aby po mojej śmierci procesowali biedne dziecko.

REJENT.

Pannę Teresę?

KASZTELANOWA.

Tak. — Oni inni ludzie, my inni. Drogi nasze się rozchodzą...

REJENT.

W przeciwne strony.

KASZTELANOWA.

Po załatwieniu interesu, znać ich nie chcę. (Zatrzymuje się w pośrodku pokoju). Podobno tam, w swoich salonach warszawskich, wyśmiewają Terenię, nazywając ją »Kopciuszkiem«. — Otóż Kopciuszek będzie mieć książęce wiano i wyjdzie za mąż za księcia... jak w bajce.

REJENT (mocno zdziwiony).

Za księcia?!... Nie mamy tu żadnego w okolicy.

KASZTELANOWA.

To też go sprowadzam z daleka.

REJENT (niezadowolony, jakby się zabierał do dłuższego mówienia).

Mnie by się zdawało...

KASZTELANOWA.

Tak postanowiłam, tak być musi. (Słysząc trzaskanie z bicia. — Kasztelanowa drgnęła). Jada! (Mocno wzruszona idzie do okna). Konie zatrzymały się przed zamkniętą bramą. — Jaki ten Grześ niezgrabny, ledwie lezie. — A przecie!... Otwiera nareszcie. (Zwraca się do rejenta). Śpieszę na ganek... powitać, przyjąć... Tak gościnność i zwyczaj staropolski każe. (Wychodzi).

REJENT (sam).

Jest i książę!... tego nie przewidziałem. — Biedny Ludwik!

Zasłona spada.



## AKT II.

Tenże sam pokój co w pierwszym.

### SCENA I.

REJENT, PETRONELLA.

(Rejent wchodzi głębią. — Petronella, która wyszła z prawych drzwi bocznych, zbliża się do niego szybko).

PETRONELLA.

No... i cóż? i cóż?

REJENT.

O co chodzi?

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, a o cóżby jeśli nie o gości?

REJENT.

Zjedli śniadanie, potem przechadzali się po ogrodzie, bawiąc kasztelanową opowiadaniem o polityce... ale, chociaż usługują przy wielkim ołtarzu, nic ciekawego nie dowiedzieliśmy się od nich. Obecnie, poszli przebierać się do obiadu. Za chwilę się tu zjawią w toaletach i we frakach.

PETRONELLA.

To wiem... ale jacy oni?

REJENT.

Dał Bóg, jak my, zwyczajni ludzie. Mają oczy, nosy, ręce, nogi...

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, niech-że rejent przestanie żartować. Przecież ich znam, ale chciałabym się dowiedzieć, jak się panu wydali, jakie wrażenie na nim zrobili.

REJENT.

Bardzo dobre.

PETRONELLA (ze zdziwieniem).

Czy być może?

REJENT (z dwuznacznym uśmiechem).

Ujęli mnie nawet sobie.

PETRONELLA.

Istne dziwo, jak prawdę kocham.

REJENT.

Tak, tak...

PETRONELLA.

Maskują się chyba, dyplomatyzują?...

REJENT (j. w.).

Nie wiem... może... ale mnie sobie ujęli.

PETRONELLA.

Nie wierzę.

REJENT.

Szambelan trochę śmieszny, ale tak szczerze wesoły i zabawny...

PETRONELLA.

Hrabia wygląda jak żandarm... zimny, sztywny...

REJENT.

Pozornie. Powiedziałbym raczej, że smutny, przygnębiony...

PETRONELLA.

A księżę?

REJENT.

Śliczny mężczyzna! w równym wieku z Ludwikiem; służył z nim nawet razem w szeregach powstańczych. Oba mieli wówczas po lat szesnaście, siedemnaście... a dziś, z brodą już nieco siwiejącą, wygląda o dziesięć lat starszy od swego towarzysza broni. Ruchy pańskie, oczy... oho! jakieś przeszywające, chociaż pełne słodyczy i melancholiczne... głos o miłym brzmieniu... serce, jak na dłoni...

PETRONELLA.

Oj! coś nasz rejent machiawelizuje; a pan wie, że ja brzydzę się Bismarkowemi praktykami.

REJENT.

Gdzie panna Petronella widzi machiawelstwo?

PETRONELLA.

W oczach, w tych oczach, któremi bałamuciłeś dawniej biedne kobiecieą.

REJENT.

Nigdy nikogo nie bałamuciłem.

PETRONELLA.

No, no... szkoda czasu na próżne słowa. (Ogląda się). Muszę jednak panu powiedzieć, że Terenia księcia, którego jej oboje z kasztelanową przeznaczacie — bo domyśliłam się tego od razu zaledwie go ujrzałam — nie pokocha i basta!

REJENT (z szczerem zajęciem).

Zkąd pewność?

PETRONELLA.

Alboż to ja jej nie znam, czy co? Chociaż, jak prawdę kocham, potulna i słodka, niby ułaskawiona sarenka, ma ona charakter i wolę, nieprzymierzając, jak kasztelanowa. Nie daleko padło jabłko od jabłoni.

Wbrew przekonaniu nic nie zrobi. — A przytem, (ogląda się na wszystkie strony) tylko proszę mnie nie zdradzić... to niezwykła istota. Miewa sny prorocze...

REJENT.

Które jej panna Petronella tłómaczy z sennika i kabały.

PETRONELLA (mocno zdziwiona).

A pan zkąd wie o tem?

REJENT.

Zkąd?... mniejsza; dość, że wiem o wszystkim.

PETRONELLA.

Otóż nie o wszystkim pan rejent wiedzieć musi, kiedy nie wie, że ona moich tłómaczeń słucha, ale im nie wierzy, pokładając całe zaufanie tylko w własnych przeczuciach, które jej nigdy nie zawodzą.

REJENT (ironicznie).

No, no... cuda... Czy tak?... istne cuda...

PETRONELLA.

Jak prawdę kocham, cuda... (jakby sobie przypominając) o których nie śniło się filozofom naszym.

REJENT.

Ja wierzę w cuda, które sprawia wzajemna skłonność, a księżę chociaż siwieje, podobać się może. Piękny, jak malowanie.

PETRONELLA.

Dla nas kobiet z czułym sercem nie sama piękność mężczyzny ideałem! — A zresztą kocha innego.

REJENT.

Niby kogo?

PETRONELLA.

Kto wszystko wie, to i to wiedzieć powinien. (Rejent milczy). Domyślić się łatwo... Żyjemy przecie

jak na bezludziu. (Po chwili). Czy pan rejent naprawdę nie wie?.. (Ogląda się na wszystkie strony, potem szepcze mu do ucha). Kocha godnego siostrzana pańskiego, pana Ludwika.

REJENT.

Eee! może się to tylko pannie Petronelli tak wydaje?

PETRONELLA.

Gdzie zaś, jak prawdę kocham, ja się na tem znam...

REJENT (sens kończąc).

Z doświadczenia.

PETRONELLA (powtarza w rozstargnieniu).

Z doświadczenia. (Spostrzega się i mówi z oburzeniem). Proszę nie żartować. — Pewno, że nie doświadczyłam tyle co pan rejent, ale na czem się znam, to się znam, i kwita. — O! już to złośliwy języczek pański dociąg musi nawet wtedy, kiedy człowiek najmniej się tego spodziewa. (Z szczerem uczuciem). Przecież mnie tylko o Terenię... o jej szczęście chodzi.

REJENT.

Przepraszam... nie chciałem ani dociąg, ani rozgniewać...

PETRONELLA (nasłuchując).

Cicho!... słyszę kroki... muszę lecieć. Trzeba dopilnować, aby nakrywano do stołu. (Odchodzi i znowu powraca). A nie sprzedać mi mojej sarenki, bo już powiedziałam, jak prawdę kocham... oczy wydrapię. (Odwraca się i spotyka z wchodzącym Ludwikiem).

SCENA 2.

REJENT, LUDWIK, PETRONELLA.

LUDWIK (do Petronelli).

Spłoszyłem?!.. Proszę się nie rumienić, nie myślę wyprowadzać złośliwych wniosków z *rendez-vous* pani z wujaszkiem.

PETRONELLA.

Et! jak prawdę kocham, mam ja więcej dla pana sympatyi, niż dla rejenta.

REJENT.

Bo Ludwik młodszy...

PETRONELLA.

Dobrze, dobrze, niech i tak będzie. Kol pan, kol; ile się podoba. Już i tak po naszej rozmowie czuję się cała jak od komarów pokłóta. Trochę mniej bólu, trochę więcej... nic nie szkodzi.

LUDWIK.

Kto się lubi...

PETRONELLA.

Ja tam nikogo czubić nie zwykłam, chociaż, jak prawdę kocham, nieraz by się może przydało. Ale et... niech tam!

REJENT.

Serduszko miłosierne...

PETRONELLA.

Miłosierne czy niemiłosierne, ale komu życzliwe, to życzliwe, bez Meternichowskich wybiegów. (Ściska przyjaźnie rękę Ludwika). Do widzenia panie Ludwiku. Muszę odejść, bo wielki czas kazać nakrywać do stołu... z przepychem. Oho! u nas dziś wszystko z przepychem, po księżecemu. (Kłania się). Sługa pana rejenta. (Wychodzi).

SCENA 3.

REJENT, LUDWIK.

REJENT.

Wyfraczyłeś się, widzę.

LUDWIK.

Jak wszyscy... jak ty sam wreszcie. (Ogląda się naokoło, potem mówi żywo i z rozdrażnieniem). Co znaczy ten

zjazd nagły i niespodziewany? co znaczy niezwykle przepych przy śniadaniu?... przepych księżęcy, jak powiada panna Petronella.

REJENT.

Chcesz wiedzieć?

LUDWIK.

Proszę cię wuju powiedz... powiedz bardzo proszę.

REJENT.

Celem przybycia całej rodziny jest potrzeba ostatecznego uregulowania<sup>2</sup> spraw majątkowych... i...  
(Chwila milczenia).

LUDWIK.

I...?

REJENT.

I zamiar wydania panny Teresy za męża.

LUDWIK.

Za kogo?

REJENT.

Za księcia. (Po chwili). Pobladłeś! (Ludwik siada na krześle). Milczysz? (Pauza). Czy ty bardzo tę dziewczynę kochasz? (Po chwili). No... odpowiedz choć słówko. (Ludwik opiera dłonie na poręczy krzesła i twarz na nie pochyla. — Rejent czeka parę sekund, potem mówi z ukrywanym wzruszeniem). Nie trzeba tego jeszcze tak bardzo brać do serca... (Ludwik nie zmienia postawy). A jednak... (Urywa. — Ludwik odnosi głowę i patrzy w oczy rejentowi, jakby w nich szukał nadziei). Dali Bóg, gdyby tylko o majątek chodziło, powiedziałbym, że nie masz czego się lękać, bo twoje Dębniaki, bez grosza długu na hipotece, pańska fortuna; a przecie po mojej śmierci odziedziczysz Chrzanów i Wolę Chrzanowską, dwa złote jabłka. Tylko, że twój rywal jest księciem... księciem de Golis... ale księciem. (Ludwik znowu pochyla czoło na poręcz krzesła). Czy ty nie przemówisz? (Po chwili). Co do urodzenia nie wywodzisz się wprawdzie, jak on od Gedymina, aleś szlachcic z dziada pradziada. Masz szereg przodków, może niezbyt długi, lecz wszyscy wiernie służyli

ojczyźnie. Ani jednego zdrajcy między nimi. (Ludwik znowu podnosi nań oczy). Twój dziad krwią wywalczył stopień generała... i koronę hrabiowską i *virtuti militari* i krzyż legii honorowej. Matka twoja... moja cioteczno-stryjeczna siostra... (tu głos rejentowi mięknie i staje się prawie łzawym). ...słowem daleka krewna... śliczna i dobra... ofiara losu... (poprawia się) i zdarzeń... tak, smutnych zdarzeń... hrabianką była z domu. (Urywa, jakby marzył.—Po chwili). Ale on jest księciem! (Ludwik opuszcza głowę na piersi). Kasztelanowa chce... musi mieć księcia, żeby tamte dwie poniżyć, żeby nad nie wynieść Terenię. A tego jej życzenia nie godzi się ani potępiać, ani lekceważyć, bo nie wyływa ono z dumy tylko. Nie mamy do czynienia ze zdzieciniałą arystokratką... nie, o! nie. Kasztelanowa w starszych dwóch wnuczkach pragnie upokorzyć ich mężów, ukarać odstępstwo od sprawy narodowej. Chce, jak umie i może, sprawiedliwości uczynić zadość!... Szukała i szukała sposobu, aż znalazła księcia-patryotę. Bo to książe... Nie ma co mówić: prawdziwy książe. (Ludwik podnosi głowę). Podobno kolegował z tobą w powstaniu, a chociaż, jak ty liczył wówczas zaledwie lat szesnaście, bił się pod Żyrzynem...

LUDWIK.

Jak lew. (Zrywa się i zaczyna chodzić po pokoju).

REJENT.

Jak lew... a widzisz! (Po chwili). Przytem... bo go już poznałem... dobry, piękny, miękki... goły... Będzie posłuszny. Jak raz takiego tu było potrzeba.

LUDWIK (zatrzymuje się i chwytą rejenta za rękę).

Wuju! jeśli ten związek przyjdzie do skutku, to ja sobie w łeb strzelę!

REJENT (mocno wzruszony).

Dali Bóg, szalony!... Co ty pleciesz!



LUDWIK (prawie nieprzytomnie).

Nie wiem... nie wiem... okropna jakaś myśl  
rodzi mi się w głowie... Znasz mnie drogi opieku-  
nie... rozumiesz, że na próżno nie straszę...

REJENT (z wybuchem).

Szalony! szalony! szalony! (Chwyta go za kłapy od  
fraka, przyciąga do siebie i mówi z wielkim wzruszeniem). Ludeczku!  
upamiętaj się... ja stary, żyję tylko dla ciebie... Co  
ja pocznę sam jeden na świecie?!

LUDWIK (j. w.).

Przyjechali goście do naszego zacisza, do na-  
szego gniazda odrodzenia... i przywieźli z sobą za-  
razę... śmierć może!

REJENT (przyciska Ludwika do piersi. — Księżę ukazuje się w drzwiach  
ogrodowych. — Rejent puszcza Ludwika).

Zmiłuj się, panuj nad sobą!... (Odwraca się i ociera  
łzę ukradkiem).

#### SCENA 4.

REJENT, LUDWIK, KSIĄŻĘ.

KSIĄŻĘ (w drzwiach. — Bardzo piękny, rysy regularne, twarz blada,  
ruchy wytworne, ujmująco grzeczny. — Strój balowy).

Może przeszkadzam?

REJENT (panując nad wzruszeniem).

Bynajmniej... broń Boże!... Niech księżę wejść  
raczy.

KSIĄŻĘ (jeszcze w drzwiach).

Taki piękny ten stary ogród.— Szpaler grabowy,  
który mnie z oficyny aż pod dwór doprowadził, po-  
dobny do tunelu. Cały pograżony w cieniach. (Zbliża  
się naprzód sceny. — Równocześnie Ludwik idzie w śląb pokoju,  
gdzie się przechadza zadumany).

REJENT.

Ha! bo już dali Bóg i wieczór. — Ściemniać się  
zaczyna... Kasztelanowa, ze względu na gości z wiel-

kiego miasta zmieniła uswięcony zwyczajem porządek rozkładu godzin. Jedliśmy dziś śniadanie o pierwszej; siądziemy do obiadu prawdopodobnie o ósmej, kiedy zwykle o tej porze bywa już tutaj po wieczery.

KSIĄŻĘ.

Hrabia i szambelan nie powinni byli zgodzić się na podobne zmiany, jeśli pani domu — tak szanowna matrona — do innego *régime* przywykła. (Zwraca się do Ludwika). Kochany kolego, o czym tak myślisz?

LUDWIK (jakby ze snu zbudzony).

Ja?!

KSIĄŻĘ.

Czy nie o dawnych czasach, kiedy-to z świętym zapałem w sercu, z wiarą w przyszłość, na rączych koniach pędziliśmy przed sobą sotnie kozackie, albo (z uśmiechem dobrodusznym) — bo i to nierazko się przytrafiało — uciekaliśmy, (ze wstrętem) a szarańcza hałaśliwa goniła za nami.

REJENT.

Zbliż się Ludwiku. (Ludwik automatycznie się zbliża).

KSIĄŻĘ.

Ach! mój drogi, jakiś ty szczęśliwy!... Nie możesz, nie umiesz pewno ocenić należycie swojego szczęścia. Siedzisz na wsi, nie wyjeżdżasz do miasta, nie potrzebujesz widywać obcych ludzi, przybranych w niewąstne nam mundury. Nie spotykasz się z nimi, jak ja, codziennie... nie potracasz ich na ulicy, nie zastajesz w restauracyi... w salonach... wszędzie.

LUDWIK (nerwowo i prawie ironicznie).

Dla czegoż książe nie unika spotkania?

KSIĄŻĘ.

Bo uniknąć nie mogę. — Ale, ale, na co w ustach twoich ten »książe«? Wszakże dla ciebie jestem tylko

Zdzisławem, dawnym towarzyszem broni. Przypomnij sobie: uratowałeś mi życie... Czy pamiętasz?

LUDWIK (j. w.).

Tyle lat już od tego czasu upłynęło... Zapomniałem.

KSIĄŻĘ (szczerze).

Ale ja pamiętam.

REJENT.

Niech mu książę wybaczy. Zdziczał w naszym pustkowiu... a przytem z przywyknień młodości wyrosnąć nie może. Czasem, patrząc na niego, słuchając go... zdaje mi się, że to ten sam Ludwik szesnastoletni wybierający się na powstanie. Dziś, nie mogąc walczyć z wrogiem, gotów rzucić się na wiatraki. Ot! pstro w głowie, mości książę... (Przyciągając Ludwika do siebie i całuje go w czoło) dotąd jeszcze pstro w głowie. (Na ucho do Ludwika). Uspokój się... proszę, zaklinam! (Spostrzegłszy wchodzącego szambelana, mówi dalej po cichu). Umykaj do ogrodu... przejdź się... ochłódź rozpalone skronie. (Ludwik zwraca się ku drzwiom).

KSIĄŻĘ.

Odchodzisz? (Ludwik chce odpowiedzieć, rejent nie daje mu przyjść do słowa).

REJENT.

Wróci za chwilę... Prosiłem, żeby mi przyniósł okulary. (Szambelan odchodzącemu Ludwikowi kłania się, jakby chciał na siebie zwrócić uwagę, ale Ludwik wciąż roztargniony oddaje mu ukłon i wychodzi).

#### SCENA 5.

REJENT, SZAMBELAN, KSIĄŻĘ, później HRABIA.

SZAMBELAN. (Strój balowy. — Order na szyi, łańcuszek z drobnymi odznakami honorowymi przy butonierce. — Pod niemi krzyż większy;

gwiazda na piersiach; wstęga. — Wesoły, uśmiechnięty, staje pomiędzy rejentem i księciem i zwraca się to do jednego to drugiego, jakby chciał wywołać wrażenie).

A co?!... babcia chyba nie powie, że się do niej nie wystroiłem!

KSIĄŻĘ (spogląda na niego i mówi westchnąwszy, z lekkim odcieniem niezadowolenia, jednak bardzo grzecznie).

Obwiesiłeś się orderami. Wątpię, aby ten widok zachwycił kasztelanowe.

SZAMBELAN.

Jakto?... przecież babcia jest gorliwą katoliczką, więc dary Ojca Świętego cenić powinna; a proszę patrzeć... (zwraca się głównie do rejenta) mam na szyi krzyż komandorski Grzegorza Świętego... tu Św. Sylwestra... a tu Grobu Świętego... tu oznaki kawalera maltańskiego...

KSIĄŻĘ (wysuwając mu z pod kłapy u fraka jeden order).

I rosyjską Świętą Annę, czwartej klasy.

SZAMBELAN (prawie smutnie).

Tak, dali mi tylko czwartą klasę, jak jakiemu praporszczykowi. Krzycząca niesprawiedliwość!

KSIĄŻĘ (j. w.).

Oprócz niej i pruski krzyżyk ztąd wygląda. Ręczę, że babka twojej żony błyskotkom tym nie będzie rada.

SZAMBELAN (znowu wesoły).

Nie wierz temu, nie wierz. Kobiety bywają niemi zwykle olśnione. (Do rejenta). Bo czemu, proszę pana, są dla nas ordery jeśli nie tem samem, czemu dla nich brylanty.

REJENT (który dopiero teraz odzyskał spokój i wrócił do zwykłego tonu).

Dawano je podobno niegdyś za zasługę publiczną, za krew przelaną w obronie ojczyzny...

SZAMBELAN.

Dawniej może... bardzo dawno temu... ale nie dziś. Dziś łaskawy panie mamy *fin de siècle*. (Śmieje się). Ot! ja naprzykład: krwi nie przelewałem, mój urząd dworski także wielkich poświęceń nie wymaga, a jednak zebrałem tę kolekcję.

REJENT (przygląda się).

Bogata! bogata!... z różnych dworów. Nawet księstwo Meklemburg-Szwerin przez gryfa w niej reprezentowane. — I one tak sobie na piersi pana szambelana w zgodzie żyją?

SZAMBELAN (śmieje się).

Możeby się i pokłóciły, ale umiem utrzymać między nimi polityczną równowagę. Stosownie do okoliczności i miejsca ten albo ów naprzód wysuwam, ten albo ów uwydatniam, wieszając go na honorowym miejscu.

KSIĄŻĘ (z widocznym niezadowoleniem, ale wciąż bardzo grzecznie).

Mój drogi, chciej się zastanowić. Przybyliście tu z Augustem w interesach familijnych, podobno bardzo ważnych. Pomyślnie ich załatwienie zawisło od dobrej woli kasztelanowej, Polki, patriotki szczerzej. Czyż nie pojmujesz, że w ten sposób przyozdobiony, musisz w jej opinii utonąć.

SZAMBELAN.

Nie bój się, jestem jak korek... zawsze wypływam.

KSIĄŻĘ (z niechęcią).

Widocznie nie chcesz mnie zrozumieć.

SZAMBELAN (z lekkim odcieniem niecierpliwości, wciąż jednak wesoło).

Ależ rozumiem, rozumiem! — Słuchaj: kto na przedpieklu mieszka, dyabły w kumy prosi. Nie znasz tego przysłowia?... To go się naucz. Rozumne. —

Bo proszę cię, panie rejencie, odziedziczyłem po ciotce majątek w księstwie. Tam potrzebuję krzyżyka pruskiego. Mam dobra na Ukrainie i Podolu. Tam mi Św. Anna otwiera drzwi, które bez niej byłyby wiecznie przedemną zamknięte. Posiadam dom w Warszawie, gdzie bez mego szambelańskiego klucza mógłbym co drugi dzień dostać się do kozy. A że krzyż pruski, św. Annę i szambelaństwo rosyjskiego dworu łągodzę i równoważę kawalerstwem maltańskim i orderami papieskimi, to chyba nie na potępienie, lecz na uznanie zasługuję. Niech mi babcia wybaczy, ale trzeba być pono ślepą, głuchą i rozstrojoną... tak, rozstrojoną... aby nie usprawiedliwić pewnej koniecznej hipokryzji w naszym położeniu... w naszym strasznym położeniu. (Ogląda się na wszystkie strony i mówi cichuteńko). Czyż dla tego, że lawiruję, bo lawirować muszę, mam być złym Polakiem? (Coraz ciszej). Broń Boże!... Nie, nie, nie... nie jestem złym Polakiem, co mam honor oświadczyć panom... ale w sekrecie.

KSIĄŻĘ.

Więc nie zdejmiesz orderów?

SZAMBELAN (wesolo i głośno).

Ani myślę!

KSIĄŻĘ (z odcieniem prośby w głosie).

Tylko parę...

SZAMBELAN (j. w.).

Ani jednego. Trzeba mieć odwagę swoich przekoń. Nie myślę ulegać kaprysom, choćby najgodszej szacunku osoby dla marnych stu... No! mniejsza dla czego.

KSIĄŻĘ.

Zdaje mi się, że będziesz tego żałować.

SZAMBELAN (j. w.).

Tak myślisz?... No to ci powiem jeszcze jedno

przysłowie: księżę prałacie, nie tak czynicie, jak nau-  
czacie.

KSIĄŻĘ.

Co chcesz przez to powiedzieć? (n. s.). Niesma-  
czny parweniusz.

SZAMBELAN.

Nic złego, nic złego... tylko mój drogi w na-  
szem położeniu trzeba mieć koniecznie odwagę swoich  
przekonań. Ty, co tak pięknie deklamujesz, czyż nie  
starasz się o kamerjunkrostwo?

REJENT (n. s.).

Oho!

KSIĄŻĘ.

Ja?... ja!}

SZAMBELAN.

A któż?

KSIĄŻĘ (dotknięty).

Daruj, to wy staracie się dla mnie o ten stopień  
dworski, i dla tego tylko może zgodziłem się tu przy-  
jechać, bo... bo pragnę wyswobodzić się z pod wpły-  
wów i oderwać od stosunków, które mogłyby mnie  
zmienić w chorągiewkę na dachu.

SZAMBELAN (wesoło).

Nie lękaj się, pracujemy właśnie z panem rejen-  
tem nad tem, abyś nie został chorągiewką na dachu,  
którą ja jestem. Przyznaję się do tego bez fałszy-  
wego wstydu. Nic pyszniejszego nad jej stanowisko...  
najwyższe i wesołe. Wiatr w prawo, ona w prawo;  
wiatr w lewo... brr, ona w lewo; a zawsze na da-  
chu. (Zniża głos). Zresztą powiem ci znowu w sekrecie:  
w rozumnie i systematycznie połączonej rodzinie po-  
winni być tacy i tacy... dla wspólnego bezpieczeństwa.  
(Wybucha śmiechem, ściska księcia wpół, potem podaje ramię rejentowi).  
Mówiliśmy już łaskawy panie, że stawiam pałac w je-  
dnej z moich ziemskich posiadłości na Podolu. Dzieło  
to pochłania ogromne pieniądze, a chociaż jestem bo-

gaty, sto tysięcy, które babcia daje, uważać mogą chyba tylko za zadatek...

HRABIA (wchodzi).

Kasztelanowa prosi pana rejenta.

REJENT.

Idę.

SZAMBELAN.

Za chwilę i ja przybędę do ogrodu, aby ostatecznie interes omówić. (Podaje rękę rejentowi, któremu hrabia wskazuje bardzo grzecznie, aby pierwszy próg przestąpił).

REJENT.

Ależ panie hrabio jestem tu niemal domownikiem. (Wychodzi za hrabią).

SZAMBELAN (powraca naprzód sceny i uderza księcia z lekka po ramieniu).

Widzę, że się dąsasz!..

KSIĄŻĘ (niezadowolony, ale bardzo grzecznie).

Mówisz czasem rzeczy tak przykre i drażliwe...

SZAMBELAN.

Mniejsza o to, co mówię, dość, że działam na twoją korzyść. Ty zaś nie irytuj się, nie rezonuj, tylko... rozkochaj w sobie Terenię i basta. To odbicie potrzebne. (Z naciskiem, oraz z minami i gestami człowieka wiedzącego wszystko). Dawne romanse puść w komin... tu o twoją przyszłość chodzi. (Wesoło). Nasze panie warszawskie twierdzą, że masz uroczę oczy, czyli — jak się to dziś nazywa — hipnotyczne. Za hipnotyzuj więc małą, a o układach ja pomyślę.

KSIĄŻĘ (z uśmiechem przyjemnie polechtanej miłości własnej).

Powiadasz, że mam oczy hipnotyczne?

SZAMBELAN (śmiejąc się).

Wróble o tem świergoczą na dachach *Kuryerki* już pisały...



KSIĄŻĘ (j. w.).

E!... żartujesz!

SZAMBELAN.

Oho! dziś każdy jest własnością reporterów, wci-  
skających się nawet do naszych salonów.

KSIĄŻĘ.

Przecież mnie nie wymieniano.

SZAMBELAN.

Ale omówieniami wskazano.

KSIĄŻĘ (z odcieniem lekceważącego powątpiewania).

I tyś się tego domyślił?

SZAMBELAN (dotknięty).

Dla czegoż nie miałbym się domyślić?!? (Z mi-  
nami, jak wyżej). Ja się wielu innych rzeczy domyśliłem.

KSIĄŻĘ.

No, no...

SZAMBELAN.

Czy mniemasz, że nie wiem, iż zawracałeś głowy  
wdowom, rozwódkom... i mężatkom. (Z naciskiem).  
Szczególnie mężatkom. Usypiałeś je po salonach i bu-  
duarach, publicznie i prywatnie, teraz wybiła godzina,  
w której musisz nas przekonać, czy tej sztuki doka-  
żesz z panną.

KSIĄŻĘ.

Czemuż by nie, gdybym zechciał.

SZAMBELAN.

Chciej!... hipnotyzuj!

KSIĄŻĘ.

Ba! gdybym posiadał odpowiednią naukę...

SZAMBELAN.

Śmiej się z nauki, którą nawet szarlatani popi-  
sują się na estradach.

KSIĄŻĘ (z uśmiechem).

Dziękuję za porównanie.

SZAMBELAN (zastanawia się, a potem wybucha śmiechem).

Prawda, prawda... no! ale ty przecież jesteś tylko dyletantem!

KSIĄŻĘ (j. w.).

Tem gorzej. Bój się Boga nie broń mnie. Brońąc coraz bardziej ośmieszasz.

SZAMBELAN.

No, bo przyznam ci się szczerze, że ja się na tem wcale a wcale nie rozumiem, chociaż niemal codzień czytuję w gazetach sążniste artykuły o spirytyzmie, hipnotyzmie, okultyzmie, symbolizmie, czarnej magii i tym podobnych kuglarstwach. Wiem jednak, że kobiety bałamucisz łatwo, że Karła i inne damy z naszego towarzystwa utrzymują, że masz oczy hipnotyczne... więc domagam się, abys Terenię zahipnotyzował. W tym starym dworze możesz śmiało operować... wszak tak?... operować. Tu wierzą jeszcze w strachy, czary, uroki, cuda... (z westchnieniem) bo wierzą także w odrodzenie ojczyzny.

KSIĄŻĘ (sykając z niezadowoleniem).

Znowu!...

SZAMBELAN (niedając mu przyjść do słowa).

Tylko żadnych słabości. — Czy dajesz mi słowo, że postarasz się rozkochać w sobie Terenię?

KSIĄŻĘ (stanowczo).

Daję słowo, że chcę, aby mnie pokochała.

SZAMBELAN.

To dobrze. Lecę porozumieć się z rejentem... Wierzaj, że to rzecz nie łatwa. Mądra ryba!.. i babcia mu ufa. (Idzie ku drzwiom i wraca). A pamiętaj, że

sam — bez mojej pomocy — tu sobie nie poradzisz.  
(Poprawia ordery i wychodzi głębia).

KSIĄŻĘ (patrzac za nim).

Próżny, chciwy, naiwnie głupi i przebiegły razem. Straszy mnie, ale tego lękać się nie potrzebuje, bo już spostrzegłem, że kasztelanowa nim pogardza, a mnie sprzyja. — Mała mi się podoba; ma w sobie coś... coś... co budzi pragnienia, jakich dotąd nie znałem. — Małżeństwo... deska ratunku! Może nie ostatnia, bo w świecie naszym nie brak posagów, czychających na mitrę książęcą, ale tu mnie pociąga dziewczątka niewinne i dzikie... a i otoczenie tak szczerze polskie, takie zacne. Gdybym się teraz nie ożenił, stałbym się może podobnym do jednego z nich... prędzej czy później. (Wzdryga się). Nie; hańbą nazwiska nie okryję. (Po chwili). Czy mnie jednak pokocha?! (Bardzo stanowczo). Chcę żeby pokochała... musi pokochać! (Marząc) Oczy... tak oczy... Całą siłę sugestyi w nich skupię. A i głos mój podobno działa także magnetycznie na nerwy i serca niewieście. (Po chwili). Karla dotąd nic nie wie... a jak się dowie... gotowa... Ba, fraszka! otrzyma przecie odškodowanie. (Po chwili). Może to nieuczciwie walczyć środkami dla mnie samego niezrozumiałemi, niepojętemi, strasznemi... Waham się i pragnę. Tu tak spokojnie, tak błogo w tym staropolskim dworze... Jeśli się nie ożenię, oni mnie sieciami swemi oplączą i kamerjunkerem zrobią, i w szkaradne jakieś błoto wciągną... A nie oprę się... czuję, że się nie oprę!... Na konkury zastawiłem u Goldsterna ostatni kawał ziemi, jaki mi po przodkach pozostał. *Vogue la galère*... cel uświęca środki. (Znowu bardzo stanowczo). Terenia musi mnie pokochać.

SCENA 6.

KAROLINA, KSIĄŻĘ.

KAROLINA.

Szukałam cię... Chcę z tobą pomówić.

KSIĄŻĘ (bardzo grzecznie).

Z przyjemnością, z prawdziwą przyjemnością. Wiesz hrabino, że zawsze chętnie spełniam twoje rozkazy... (ciszej) Tylko czy tu kto nie może nas podsłuchać? (Karolina śmieje się gorzko i ironicznie). Karlo, co ci jest?... co ten śmiech oznacza? (Bierze ją za rękę). Ręka twoja drży... dłonie masz gorące... (Z czułością). Wydajesz się wzruszoną...

KAROLINA.

Wzruszoną — o nie; oburzoną — tak.

KSIĄŻĘ.

Czem-że? czem?

KAROLINA.

Nie udawaj! Udawanie pozostaw nam kobietom, które zawsze mamy coś do ukrycia. Ale prawda, że ty pół-bohater, za jakiego cię tu mają, jesteś przytem mięki jak kobieta — możesz zatem grać komedię bezkarnie.

KSIĄŻĘ.

Na serio nic nie rozumiem.

KAROLINA.

Widzę, że pragniesz abym sama położyła *les points sur les i*. Zgoda! Kiedy tak, to powiem ci, że dowiedziałam się o waszej intrydze, uknutej potajemnie... Książę pan się żeni.

KSIĄŻĘ.

Na miłość Boga, ciszej!

KAROLINA.

Mówię cicho, bardzo cicho... *zitto, zitto, pianissimo* móści książę, jak mnie od dzieciństwa uczono. Oburzenie do podniesienia głosu mnie nie zmusi, a w takich starych i uczciwych — jak te — domach, nikt nie ma zwyczaju podsłuchiwać. Całe towarzystwo w ogrodzie; szambelan tylko co wyszedł. Nie spo-

strzegł mnie, kiedy tu wchodziłam, ręczę ci za to słowem — opuszczonej kobiety. Nie lękaj się zatem. Opinia twoja dobrze wychowanego i bardzo delikatnego człowieka, którą się cieszysz w naszym świecie, na szwank narażoną nie będzie. Możemy mówić prawie głośno... i otwarcie. (Chodzi wzburzona. — Nagle staje). Więc nie zaprzeczasz? (Chwila milczenia). Żenisz się z moją siostrą? (Wybucho ironicznym śmiechem). Żałuję, że powinszować nie mogę.

KSIĄŻĘ (bierze ją za rękę, po lekkim oporze prowadzi do kanapy, na której sadza, poczem siada obok niej i mówi bardzo czule).

Karlo... czy mi jeszcze ufasz?

KAROLINA.

Słucham.

KSIĄŻĘ.

Chciałbym, żebyś mi ufała...

KAROLINA.

Słodki dźwięk twojego głosu kłamie, oczy urocze kłamią; głosem twym i oczami swymi mnie oczarowałaś... ale już im nie wierzę. Ufałam dotąd, teraz tylko słuchać mogę.

KSIĄŻĘ.

Przedewszystkiem racz mi powiedzieć od kogo dowiedziałaś się... o... o... zamiarze, który dotąd jest projektem zaledwie... bez stanowczego zobowiązania z mojej strony.

KAROLINA.

Ależ oni, tam, ile razy Terenia zniknie — a znika co moment — o niczem innym nie mówią, tylko o tem.

KSIĄŻĘ.

Musiałaś źle zrozumieć.

KAROLINA (ironicznie).

Ciebie nie rozumiem.

KSIĄŻĘ.

Dla czego?

KAROLINA (j. w.).

Ty... ty, i ta wiejska kózka, w parze, połączeni dozgonnym węzłem małżeńskim!.. Nie, to naprawdę przechodzi wyobrażenie, to rozśmieszyć by mogło, gdyby nie... (Urywa). Takie głupie koźlątko, taki Kopuszek...

KSIĄŻĘ (z delikatnym wyrzutem).

Karlo, to twoja siostra!

KAROLINA.

Nie księciu wypada mi to przypominać! Ale kiedy przypomniłeś, to powiem, że dla jej szczęścia nie chcę tego związku. Terenia za niewinna, aby miała po mnie dziedziczyć...

KSIĄŻĘ.

Nie pojmuję...

KAROLINA.

Och! oburzasz... wstręt budzisz w mojem sercu swoim dzikim, zwierzęcym egoizmem!

KSIĄŻĘ.

Karlo! Karlo! ty zwykle taka dobra...

KAROLINA.

Nie jestem już dobrą. Byłam nią może kiedyś, ale świat, w którym żyjemy zrobił mnie przewrotną i fałszywą. Lecz mam tego dosyć! W murach starego dworu... tu, gdzie upłynęło moje dzieciństwo anielskie, zapragnęłam szczerości... Więc bronić będę mojej siostry, bronić będę honoru rodziny w obec ciebie i przeciw tobie, który mnie pozbawiłeś prawa obrony czci własnej.

KSIĄŻĘ.

Napróżno chciałabyś się oczernić... byłaś i pozostaniesz aniołem.

KAROLINA (mimowolnie z uczuciem).

O! tak... pragnęłam być twoim aniołem opiekuńczym...

KSIĄŻĘ.

Gdyby nie Warszawa...

KAROLINA.

Gdzież kobieta mego urodzenia, nosząca po mężu znane nazwisko, zamieszkać może, jeśli nie w stolicy!

KSIĄŻĘ.

Tak, lecz...

KAROLINA (opiera czoło na rękę i mówi prawie do siebie, jakby marzyła).

Gdyśmy się w niej z Augustem osiedlili po ślubie, byliśmy bogaci, szanowani, uwielbiani. Życie wszystkimi swemi ponętami uśmiechało się do mnie. Pędziliśmy przez nie oboje, nie myśląc o jutrze, jak w wyścigu konnym lub w *par force*... po polach zielonych... naprzód... wciąż naprzód... *ventre à terre!* Dech w piersiach zamierał od wrażeń, jakie czar szalonej pogoni wytwarzał. Dotąd, gdy myślę o tych chwilach, w głowie mi się kręci.

KSIĄŻĘ (ze szczerem współczuciem).

Biedna Karlo!

KAROLINA (j. w.).

Wtem wybuchło powstanie, w którym August, chociaż znacznie od ciebie starszy, odegrał także niemal bohaterską rolę.

KSIĄŻĘ.

Mówiono mi: narażał się, poświęcał. On, paniczek, wychowany w puchu, budził podziw, zachwycał.

KAROLINA (j. w.).

Nagle runął gmach nadziei... (z bolesną ironią) istny pałac z kart! — Zwiął go mroźnym podmuchem

wiatr północy, rozrzucił po świecie atutowe asy i damy, a króle, z koronami laurowemi na skroniach, przemienił w marne walety. Widmo nędzy groziło całemu krajowi. Interesa mego męża zachwiały się wśród kataklizmu; posag mój, chociaż duży i jeszcze wówczas nietknięty, szczerb w jego fortunie wygładzić nie mógł, pomimo, że w nich cały utonął. Wtedy, nie chcąc unżyć się w obec swoich...

KSIĄŻĘ.

Duma fatalna!

KAROLINA (j. w.).

Po długiej walce z nawyknięciami, z tem co kochaliśmy i w co wierzyliśmy, August zapisał się do biura generał-gubernatora. (Zakrywa dłońmi oczy. — Chwila milczenia. — Karolina powstaje). Ciężkie to urzędowanie!.. pełne bolesnych upokorzeń, tak dla niego, jak dla mnie!... Ażeby mu ułatwić przesuwanie się z posad niższych na wyższe, aby wyrobić zwiększenie pensyi, sprzedawałam satrapom zmieniającym się co lat parę w zamku: uśmiechy, piękne słówka, uściśnienia ręki, spojżenia, które przyrzucały więcej, niż dotrzymać chciałam... niż dotrzymywałam. W życiu podobnem o wszystkim co szlachetne zapomnieć można i nabrać dla siebie takiego wstrętu... o! takiego wstrętu...

KSIĄŻĘ.

August ciężko odpowie przed własnem sumieniem...

KAROLINA.

Nie obwiniaj go. On mnie na tę drogę nie popchnął; wybrałam ją sama. (Zamyślona). Kto wie, czy mnie dotąd nie kocha!

KSIĄŻĘ.

A czy ja cię nie kochałem?

KAROLINA.

Ty mnie zgubiłeś, bo kiedy zmęczona — okropnie zmęczona torturą codzienną — spotkałam cię na



mej drodze, z temi oczami nęcącemi swoim demonicznym urokiem, przemawiającego głosem budzącym w rozdartem łonie nadzieję, uwierzyłam szalona, że dawną duszę moją wskrzesisz, że mi niebo otworzysz. Słaby jesteś i chwiejny jak kobieta, ale nie wtedy, gdy pragniesz. O kiedy pożądasz, umiesz narzucić swoją wolę jakimś czarem dziwnym, jakimś przy-musem...

KSIĄŻĘ.

Karlo! przysięgam...

KAROLINA.

Znam wartość twoich przysięg!... a jednak nie wiem, co się ze mną dzieje. Chwilami czepiam się uciekającej przedemną miłości, jak gałęzi zbawienia... zazdroszczę... nienawidzę... przeklinam tę, która mi ciebie wydiera... to znowu pogardzam sobą i tobą... a ją od zguby ratować pragnę.

KSIĄŻĘ.

Karlo! Karlo!

KAROLINA.

Oni tam może teraz, już nie półgłosem, jak przed chwilą, ale głośno dobijają targu, którego punktacyę spisaliście listownie: ty, babka, szambelan i mój mąż. Temu ostatniemu się nie dziwię. On siebie za nędzny grosz sprzedał, dlaczegóżby i ciebie nie miał sprzedać za sto tysięcy. Tak, tak... nasze porękawiczne wyniesie aż sto tysięcy! Ja nie będę potrzebowała na salonach zamkowych i w Belwederze roztaczać czaru mojej kokieteryi, a on porzuci urządowanie. Marzy o tem oddawna! Pojedziemy do Szwajcaryi... w górach zakopać naszą hańbę.

KSIĄŻĘ (słodko i prawie z radością).

Szczęście powróci... wierzaj mi, powróci!

KAROLINA.

Tak mniemasz?... Otóż mylisz się. To pomyślne

rozwiązanie nie przyjdzie do skutku, bo ja na małżeństwo Tereni z tobą nie zezwolę.

KSIĄŻĘ.

Ależ Karlo...

KAROLINA (stanowczo, ale prawie spokojnie).

Nie zezwolę.

KSIĄŻĘ (na str. niemal z dziecinnem rozdrażnieniem).

Ooo!... kiedy tak, to zobaczymy!

KAROLINA (prawie spokojnie, ale ironicznie).

A teraz kiedy wiesz, czego się trzymać... otwórz, proszę, fortepian. (Książę otwiera). Słyszę zbliżających się... (Siada przy fortepianie). Co wolisz, żebym zagrała: marsz tryumfalny, czy preludyum jakie ciche? (Książę nie odpowiada, tylko opiera się o fortepian). Milczysz?... Widzę, kochany książę, że dla ciebie grać muszę *zitto, zitto... pianissimo*. (Gra cichuteńko walca M. Moszkowskiego. Opus 32. — W ciągu poprzedzającej sceny ściemniało się powoli, tak że obecnie jest zupełnie ciemno).

#### SCENA 7.

CIŻ SAMI, HRABIA i na ramieniu jego oparta KASZTELANOWA. Potem MACIEJ i JÓZEF. Następnie MATYLDA i TERENIA. W końcu SZAMBELAN, REJENT, LUDWIK i PETRONELLA.

HRABIA (prowadząc dalej w ogrodzie rozpoczętą rozmowę).

Starożytne narody miały także swoje *credo*, które z biegiem czasu traciły.

KASZTELANOWA (rozdrażniona i bardzo znużona).

Bo w sercach i umysłach nie było już wiary, bo nie pragnęły odrodzenia.

HRABIA.

I one prawdopodobnie sądziły, że upadku swej wiary nie przeżyją, tymczasem przetrwały ją... i szydziły nawet potem z najwznioślejszych pojęć i najświętszych ołtarzy.

KASZTELANOWA (z oburzeniem).

O!... (Panuje nad sobą). Zmęczona jestem... przepraszam... dyskutować dłużej nie mogę... nie chcę. Siądę tu... w fotelu. (Hrabia doprowadza ją do fotelu. — Kasztelanowa siada). Dziękuję... odpocząć muszę. (Hrabia kłania się, jakby chciał odejść). Jeszcze słówko. Lekkomyślnie traktować rzeczy serio, a poważnie lekkie lub nikczemne; wielkie poniżać, a wywyższać małe, oto czem się odznacza wasza generacya, w popiół zamieniona po słomianym ogniu. I dla tego też ginie, marnieje. (Z silnem przekonaniem). Ale zguba indywiduów, a choćby i całego pokolenia nie jest jeszcze upadkiem narodu i wiary w jego nieśmiertelność. (Hrabia chce odpowiedzieć, kasztelanowa mu przerywa). Przepraszam... jestem zmęczona... dyskutować nie mogę. Tyle tylko chciałam powiedzieć. (Hrabia znowu porusza się, jakby chciał odejść). Zostań... proszę. Siądź przy mnie. (Hrabia bierze krzesło i siada). Jak tu ciemno. Chciej zadzwonić. (Hrabia powstaje i dzwoni. Maciej ukazuje się w drzwiach lewych).

MACIEJ.

Co jaśnie pani rozkaże?

KASZTELANOWA.

Światła! (Maciej wychodzi). Karolka gra bardzo ładnie. Ciche tony, z pod jej palców płynące, uspakaają, kołyszają jak do snu... myślom inny bieg nadają.

HRABIA (z westchnieniem).

Tak, gra inteligentnie. (Zbliży się do fortepianu, bo spostrzegł księcia. — Wchodzi Maciej, za nim Józef z kandelabrami w ręku. — Kasztelanowa w pierwszej chwili olśniona, zakrywa oczy).

MACIEJ.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

KASZTELANOWA.

Na wieki. (Maciej i Józef stawiają kandelabry). Macieju! (Kamerdyner się zbliża). To twój Józefek?

MACIEJ.

Tak jaśnie pani.

KASZTELANOWA (po cichu).

We fraku... nieboszczyka kasztelana?

MACIEJ.

Tak. (Do Józefa). Chodź-no tu; ucałuj ręce jaśnie pani. (Józef nachyla się, żeby ręce Kasztelanowej ucałować).

KASZTELANOWA (z mimowolnym wstrętem).

Nie trzeba... Odejdźcie. (Maciej i Józef odchodzą).  
Mój Boże!... mój Boże!... mój Boże! (Mówi te wyrazy coraz cichszym szeptem, poczem jakby ukradkiem robi znak krzyża świętego na piersi. — Hrabia, który wziął księcia pod ramię, zbliża się. — Kasztelanowa spogląda na nich, niby ze snu ockniona).  
A! i księżę!... Bardzo mi przyjemnie. Siadajcie panowie tu... tu... (wskazuje krzesła) obok mnie. (Hrabia i księżę siadają). Karła gra tak pięknie. Można myślać w muzyce utonąć i znaleźć w niej spokój chwilowy.

KSIĄŻĘ.

Hrabina posiada wielki talent.

HRABIA (z goryczą).

Bezużyteczny. (Po chwili smutnie). A kto wie?... może jeszcze kiedyś dawać będzie koncerty lub lekcye.

MATYLDA (wchodzi, wciągając przemocą za sobą Terenię).

Chodź, chodź mała. Nie lękaj się, nikt cię tu zjeść nie myśli.

TERENIA.

Och! jaka pani złośliwa!

MATYLDA.

Pani! znowu pani. Babciu, każ jej mi mówić ty.

KASZTELANOWA.

Kazałam.

MATYLDA.

A ona nie słucha!... Proszę sobie wyobrazić, że ta panna milionowa, bo ją babunia pragnie obsypać złotem i brylantami, miewa sny czarne jak smoła.

Przed chwilą opowiadała mi ostatni, najświeższy, dzisiejszy: o trumnach, pogrzebach, przepaściach. Brz!... Nie moja panno, to nie ty mnie, ale ja ciebie lękać się będę, bo się bardzo boję wszelkich widm i strachów, a tu w tym starym dworze pewno straszysz. Straszysz czy nie?... powiedz.

TERENIA (zmięszana).

Nie.

MATYLDA.

A jednak okropne sny miewasz?

TERENIA (j. w.)

Tak.

MATYLDA.

I widzenia?

TERENIA (j. w.)

Nie.

MATYLDA.

A przeczucia?

TERENIA (j. w.)

Tak.

MATYLDA.

Czy przeczuwałaś, że przyjedziemy?

TERENIA (j. w.)

Nie.

MATYLDA (podrzeźniając).

Tak, nie — nie, tak. Jak tylko zobaczy parę osób razem, nie można się z nią dogadać. Ależ moja droga, czas już oswoić się z ludźmi.

KASZTELANOWA.

Dokuczasz jej Matyldo! (Matylda zwraca się nadąsana do fortepianu i staje za Karoliną). Chodź tu Tereniu... Usiądź. (Wskazuje jej niski taburecik przy swoich nogach. Terenia siada. Kasztelanowa gładzi ją po głowie, a ona babkę w rękę całuje). Biedna sierota.

KSIĄŻĘ.

Biedną nie jest, kto taką babkę posiada.

HRABIA (z goryczą).

I nie zna fałszywych położeń, jakie tak zwany wielki świat wytwarza.

KASZTELANOWA (zwracając się do księcia).

To też najgorętszem mojem życzeniem jest, aby Terenia nie opuściła nigdy naszej wiejskiej zaciszy.

KSIĄŻĘ.

Rozumiem to życzenie. (Nachyla się i mówi bardzo uprzejmie do Tereni). Czy w istocie miewa pani sny, o których szambelanowa wspominała przed chwilą?

TERENIA (przezwydzielając nieśmiałość).

Miewam...

KASZTELANOWA (poddając wyraz).

Mości książe.

TERENIA (powtarza).

Mości książe.

KSIĄŻĘ (do kasztelanowej).

O, pani kasztelanowo!... W tym domu, z tych ust na inny tytuł pragnąłbym zasłużyć. (Zwraca się znowu do Tereni). W snach znajdujemy często szczęście i radość, o które trudno na jawie.

TERENIA.

O, tak!

KASZTELANOWA.

Będąc dzieckiem, niekiedy — na pełni księżyca lub przed burzą — miewała lekkie ataki lunatyzmu, czy snu magnetycznego. Lekarze różnie ten stan nazywali. Ale od lat kilku to minęło... jest, dzięki Bogu, zupełnie zdrową.

KSIĄŻĘ (n. str.).

Lunatyczka!... tem lepiej. (Głośno). W twoim wieku, panno Tereso, nietylko marzenia senne, ale

i życie uśmiecha się jeszcze pełnią nadziei, całym blaskiem uroków.

TERENIA (oddycha głęboko i jakby uspokojona mówi ze względu swobodą).

Życie, jakie pędzę przy babci, jest dla mnie bardzo miłe. Nie znam wielkich smutków, prócz tych, które babunia odczuwa, które płyną z ogólnego stanu naszego nieszczęśliwego kraju, za który pan... (poprawia się) ty mości księżę... krew przelewałaś.

KASZTELANOWA (po cichu do hrabiego).

On musi podobać się Tereni.

HRABIA (po cichu).

Pragnę tego szczerze.

TERENIA.

Smutek powszechny jest duży, ogromny... ale ja mam tyle wiary w przyszłość, taką ufność w sprawiedliwość boską, że na chwilę nawet nie tracę nadziei.

KSIĄŻĘ.

Słucham z zachwytem.

TERENIA.

O! proszę pana... (poprawia się) mości księżę... nie trzeba mnie onieśmielać. Co mówię — mówię zawsze szczerze, jak myślę.

MATYLDA (do Karoliny).

Czy słyszysz, jak się rozgadała?

KAROLINA.

Słyszę. (Ciągłe dotychczas grała cichuteńko, teraz z siłą uderza ostatni akord i powstaje; n. str.). Czar oddziaływa... trzeba go rozwiać. (Do Matyldy). Czy widzisz, jak księżę na nią patrzy?

MATYLDA (nawnie).

A tak, patrzy. Wiesz, baronowa Goldsztern mó-

wiła mi kiedyś, że ile razy na nią rzucił okiem, wnet usypiała. Czasem: salon pełny, wszyscy bawią się jak najlepiej, on spojrzy... a ona zaraz marzy, jakby się czempredzej do łóżka położyć.

KAROLINA (sucho).

Kochała się w nim na zabój!

MATYLDA (j. w.).

Czy tak?... nie wiedziałam o tem.

KAROLINA (wzruszając ramionami).

O czem ty wiesz, moja droga.

KASZTELANOWA.

Przestałaś grać Karlo?... Z taką rozkoszą cię słuchałam.

KAROLINA (rozdrażniona, z lekkim odcieniem ironii).

Dziękuję za komplement... ale pragnę przyłączyć się do ogólnej rozmowy. I my obie, Matyllda i ja, jesteśmy twojemi wnuczkami. I nam u stóp twoich miejsce się należy! (Zwraca się do męża i księcia). Augustie, mości księżę... przynieście nam taburety, abyśmy i my skorzystać mogły z pieśczot, które tylko Tereni przypadają w udziale. (Hrabia i księżę powstali i szukają taburetów).

MATYLDA.

Karla ma słusność. Babcia pragnęłaby nas wydziedziczyć pod każdym względem.

KAROLINA (na ucho do Matyldy).

W naiwności swojej znalazłaś wyraz prosto trafiający do celu.

KASZTELANOWA (sucho i zimno).

Wyposażyłam was dawno.

KAROLINA.

Wianem i wyprawą... nie sercem.



MATYLDA

A my serca pragniemy. Wszyscy mnie uważają za bardzo niemądrą: i Karla, i mój mąż... a jednak ja dobrze rozumiem, że ty nas babciu nie kochasz. (Do hrabiego i księcia, którzy zbliżyli się z taburetami w rękach). Tu jeden... tu drugi. Siadam z lewej, Karla z prawej strony. Terenię pozostawiamy po środku. (Do Tereni). No, i czemu tak na nas patrzysz mała swemi zdziwionemi czy przerażonemi oczami?... czemu z nami tak śmiało nie rozmawiasz, jak z księciem?

TERENIA (która przy całym poprzednim poruszeniu siedziała nieustannie u stóp kasztelanowej).

Bo ksiązę mówi miłym i ujmującym głosem... a przytem wiem, że walczył w polskich szeregach. Wy zaś przemawiacie do mnie z dumą lub pogardliwie; wy takie wielkie panie... więc w obec was tracę odwagę.

KAROLINA (zwracając się w stronę księcia. — Z ironią).

Ksiązę widocznie Tereni nie imponuje.

KSIĄŻĘ.

Nie mam zamiaru komukolwiek imponować. (Do hrabiego pocichu patrząc na Terenię). Doprawdy, zachwycające dziecko... Tyle szczerzej niewinności!

HRABIA (z goryczą — po cichu).

Czy myślisz, że i tamte nie były kiedyś niewinne?

MATYLDA (łaszcząc się i całując ręce kasztelanowej).

Ręczę, że Terenia tak jak ja przymilać się nie potrafi.

KAROLINA.

Ja zaś przymilać się nie umiem. Kocham... albo nienawidzę. Ale ciebie babciu nie mam jeszcze prawa nienawidzieć. (Całuje ją w rękę i mówi na wpół żartem, na wpół z ironią). Kiedyś... może... kiedy na to zasłużysz. (W drzwiach w głębi ukazuje się: szambelan, rejent i Ludwik).

KASZTELANOWA (n. str. szeptem).

Ach! jakie zmęczenie!

SZAMBELAN (do rejenta).

Czy siostrzeniec pański zawsze taki chmurny i milczący?

REJENT.

Dość często.

SZAMBELAN.

Nie słucha, nie uważa, kiedy niekiedy wzdycha... Może chory? (Wesoło). Ale mniejsza o to; opowiadam dalej. Sala oświetlona *a giorno*. W głębi cesarz, cesarzowa Eugenia i królowa Izabella; kilka pomniejszych głów koronowanych i dwór. Ciało dyplomatyczne w komplecie, senatorowie, członkowie akademii, deputowani, wojskowi, damy, świat finansów i arystokracji... aż łuna bije od brylantów i orderów. (Zatrzymuje się i spogląda w około). A!... Całe towarzystwo już tu zgromadzone! Bardzo dobrze. Opowiadam rejentowi mój sukces w pałacu Tuilleries, na balu. Rzecz wielce ciekawa. Nie wątpię, że i najdroższa babcia zechce mnie wysłuchać.

KASZTELANOWA (n. str.).

Głupiec!

SZAMBELAN (ciągnie dalej).

Nie przeczuwałem, jaki zaszczyt mnie spotka. (Zwraca się do żony). Matyldo, siądź-no do fortepianu i zagraj walca. Wiesz tego... (Nuci. Matylda idzie do fortepianu). Nie, nie... daj pokój... grasz bez taktu! (Zwraca się do Karoliny) Może hrabina zechce... Proszę, bardzo proszę. (Wyciąga ręce do Karoliny, a kiedy ta powstała i wyszła na środek pokoju, prowadzi ją z galanterią do fortepianu). Walca... walca... tego wiesz, co zawsze nuczę. (Nuci). Utkwił mi w pamięci na całe życie. (Karolina gra). Ten... ten właśnie... ale zaczekaj, z łaski swojej, momencik. Dam znak w chwili właściwej. (Wraca na środek pokoju). Pod namiotem z weneckiego brokatu siedziała królowa Izabella, między cesarzem Napoleonem III i ce-

sarzową. Tylko najdostojniejsi między najdostojniejszymi, oraz szambelani i adjutanci służbowi mieli do nich dostęp. (Petronella wchodzi; miała przemówić, ale zatrzymuje się, nie chcąc przerywać). Stałem nieopodal, młody jeszcze, ale pełen ambicyi. O! bo już z tą szlachetną ambicyą w sercu, chyba urodzić się musiałem!... Nie wysuwałem się zbyt daleko naprzód, a jednak czułem, że oczy monarchini parę razy na mnie spocząć raczyły. Ubrany byłem w mundur kawalera maltańskiego — i już wówczas miałem ten oto komandorski krzyż Grzegorza św. na szyi. Orkiestra zagrała walca... (Nuci, a później mówi dalej). Cesarz powstał... powstała i królowa. Nigdy tego nie zapomnę! Zdawało mi się, że wzrok jej skrzyżował się z moim. Ba! i słusznie mi się zdawało. Skinęła na przybocznego adjutanta, i kłaniającemu się nisko, szepnęła słów parę. Patrę... aż tu adjutant zbliżył się do mnie i oświadcza, że Jej Królewska Mość hiszpańska pragnie tańczyć ze mną. Drgnąłem uszczęśliwiony i posunąłem śmiałym krokiem ku wspaniałej pani. Adjutant wymienił moje nazwisko. Ona uśmiechnęła się uroczo... ach! jak uroczo... i majestatycznie oparła dłoń swoją na mojem ramieniu. Osoba korpulentna — uważacie państwo — a jednak zachwycająca, kolosalnie zachwycająca! Dość powiedzieć: królowa!... Tej tuszy co... co... (obraca się na wszystkie strony w około i spostrzega za sobą Petronellę) co panna Petronella.

PETRONELLA.

O! o!

SZAMBELAN.

Oparła rękę tu... a ja omal nie omdlałem. Co chcecie państwo?... byłem młody, bardzo młody. (Do Matyldy). Chodź-no tu Madziu. (Matylda powstaje i zbliża się do niego). Nie, nie... ty w takt nie tańczysz... i nie masz odpowiedniej postawy. (Matylda odchodzi). Kogo by tu... kogo by tu... (Uderza się w czoło). Panno Petronello przysuń się nieco. Bliżej... jeszcze bliżej. (Petro-

nella przystępuje z pewnem wahaniem). Proszę majestatycznie oprzeć się na mojem ramieniu.

PETRONELLA.

Ja, niby mam być królową?... to dla mnie za wiele honoru, jak prawdę kocham.

SZAMBELAN.

Nic nie szkodzi. Oprzej się panna bez wahania. Dobrze... śmiało. (Do Karoliny). Teraz zechciej zagrać hrabino. (Karolina gra). Objąłem jej kibić ot tak... i puściliśmy się walca po sali. (Tańczą).

MACIEJ (we drzwiach).

Waza na stole. (Wychodzi. — Szambelan przestaje tańczyć, a Karolina grać).

REJENT (zwykłym sobie szyderczym tonem).

Powinszować... powinszować panu szambelanowi tak sukcesu w Tuillerach, jak lekkości w tańcu.

SZAMBELAN (oddychając głośno).

Pannie Petronelli powinszować należy... tańczy... tańczy... jak królowa hiszpańska.

PETRONELLA (z westchnieniem).

E! jak prawdę kocham, tańczyło się niegdyś niezgorzej.— Ale przepraszam pana szambelana, muszę lecieć, bo ja tu jestem wszystkim, więc i marszałkiem dworu. Bezemnie zupy nie podadzą jak należy. (Wybiega).

SZAMBELAN (do kasztelanowej).

Cóż mówisz najszanowniejsza babciu na moje dawne powodzenia dworskie?

KASZTELANOWA (ze źle ukrywaną niechęcią).

Nie umiem ich dostatecznie ocenić, bo się na tem nie znam.

SZAMBELAN (zwraca się do rejenta i mówi do niego po cichu).

Staruszka rozstrojona... rozstrojona kompletnie!

(Kasztelanowa chce powstać z fotelu, ale zmęczona natychmiast siada. Terenia ją podtrzymuje i pyta z niepokojem).

TERENIA.

Babciu droga, co tobie?

KASZTELANOWA (szeptem).

Nic, nic... wiek... zmęczenie. (Głośno, do wszystkich). Zwykle o tak spóźnionej porze nie jadam, dajcie mi zatem państwo, że wam towarzyszyć nie będę. Raczcie sami udać się do stołu... ja tu trochę odpocznę. Szambelan poprowadzi swoją żonę, hrabia swoją... (Ogólne poruszenie).

KAROLINA (ironicznie).

Przykładnie... małżeńskimi parami.

SZAMBELAN (bierze żonę za rękę i wybuch śmiechem).

Ja z moją Madzią, jak do poloneza. (Oboje krygują się w pozach polonezowych).

KASZTELANOWA (mimowoli syknęła, ale po chwili mówi, panując nad sobą).

Księżę podaj ramię Tereni.

REJENT (n. str. ściskając za rękę Ludwika).

Sza! spokojnie!

KASZTELANOWA.

Pan Ludwik zechce mnie zastąpić... w roli wice-gospodarza. (Ludwik się kłania). Tereniu, i ty pamiętaj o gościach.

TERENIA.

Dobrze babciu. (W ciągu tego, co następuje, do końca sceny, wychodzą parami: hrabia z żoną; dalej w *pas* polonezowem śmiejący się szambelan z Matyldą; dalej księżę z Terenią; za nimi Ludwik).

KASZTELANOWA.

Pana rejenta ośmielę się zatrzymać na chwilę. Mam mu słów parę powiedzieć.

REJENT.

Chętnie, bardzo chętnie... I ja o tej porze obiadu nie jadam, zwłaszcza po tak sutem jak dzisiejsze śniadaniu. Jestem więc na usługi pani kasztelanowej do-brodziejki.

SCENA 8.

KASZTELANOWA, REJENT.

KASZTELANOWA.

Rejencie, podaj mi rękę. (Rejent pomaga jej do po-wstania). Muszę odetchnąć powietrzem ogrodu. (Rejent prowadzi ją ku drzwiom w głębi, które ona otwiera nerwowym ru-chem ręki). Ach! (Oddycha przeciągle). Teraz mi lżej... Co za ludzie! co za ludzie!... Drażnili, obrażali... Pano-wałam nad sobą, aby nie wybuchnąć! To też do uspokojenia potrzebowałam powietrza, co płynie z niw, z traw i kwiatów, z pośród drzew polskich... uko-chanych moich lip i topoli. — Karły! karły! złośliwe i nędzne karły!... — Słuchając ich, czułam nieraz pło-mień rumieńca na twarzy. — Trzeba z nimi jak najspie-szej skończyć, zapłacić... niech wyjeżdżają!

REJENT.

Ba! zapłacić... Łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Szambelan się targuje.

KASZTELANOWA.

Przecież bogaty?!

REJENT.

Pani kasztelanowa zna francuskie przysłowie o apetycie?...

KASZTELANOWA.

Służalec w potrójnej liberyi! (Po chwili). A tam-ten... a August?

REJENT.

Zgodzi się prawdopodobnie, bo zrujnowany.— Tego mi żal trochę... nieszczęśliwy, bardzo nieszczę-śliwy.

KASZTELANOWA.

Nie mam litości dla handlujących sumieniem.

REJENT.

A właśnie pragnie je wykupić z zastawu.

KASZTELANOWA.

Wykupić... powiedz raczej uciec z pod obcego sztandaru, któremu na wierność przysięgał.

REJENT.

Pojęcia o przysiędze bywają różne. Bacząc na pesymizm jego przekonań, to, co uczynić zamierza, nie nazwałbym dezercją, lecz odwrotem... a może nawet powrotem do starej wiary.

KASZTELANOWA (opryskliwie).

Nie dbam o łatwo zmieniającą się wiarę i tanie sumienie. (Po chwili). Ach! to powietrze! to powietrze!... zdaje się, jakbym niem oddychała po raz pierwszy w życiu!... Ale czuję, żem zmęczona... Chciej mnie odprowadzić do fotelu. Ledwie stoję... zawrót głowy... nie mogę utrzymać się na nogach.

REJENT (mówiąc co następuje, odprowadza ją, sadowi i przysuwa taburecik pod nogi).

A jednak pani kasztelanowo, dali Bóg trzeba się krzepić, trzeba mieć siły, bo rzecz się komplikuje i może przeciągnąć się dłużej niż pragniesz. Oni wiedząc, że ich porękawiczne zależnem jest od ożenienia księcia z panną Teresą, gotowi wywierac na niego presyę, sprzeczną z treścią układu. Książę słaby, chwiejny... a oni liczniejsi od nas, bo naturalnych alianatów posiadają w żonach.

KASZTELANOWA.

Ty rejencie... ty... miałbyś przegrać w walce z szambelanem i Matyldą!... Nie wierzę.

REJENT.

A ja, pomimo pochlebnej o mnie opinii pani kasztelanowej muszę odpowiedzieć, że uważam rezultat walki — jeśli koniecznie walczyć będzie potrzeba — za nader wątpliwy. Oni go znają, wiedzą więc, jak nań wpływać, jaką drogą czy ścieżką trafić do jego umysłu i serca.

KASZTELANOWA (z radością).

Zajęty Terenią.

REJENT.

Czy już?!... To trochę za prędko.

KASZTELANOWA.

Kogóżby nie oczarowała jej prostota szczerą, wdzięk niewinności...

REJENT.

I posag. Ale pani kasztelanowo tu właśnie należy postawić pytanie, czy panna Teresa zajmie się również księciem?

KASZTELANOWA.

Spostrzegam, że się jej podobał.

REJENT.

Jako eks-powstaniec — niezawodnie; ale jako narzeczony i przyszły mąż — śmiem wątpić. Obecnie stara się o urząd dworski kamerjunkra.

KASZTELANOWA.

Nie on, nie on! Wspominał mi już o tem. Szambelan czynił zabiegi... namawiał go, ale księżę odepchnął propozycję ze wzgardą.

REJENT.

Czy tak?

KASZTELANOWA.

Niezawodnie.



REJENT.

Bądź co bądź, jak sądzę, dotąd w chwilowem upodobaniu panny Teresy, przeważa uczucie patryotyczne, od dziecka wszczepiane w jej duszę. Serce prawdopodobnie nie przemówiło jeszcze, a sercu — mnie mam — nie zechcesz pani kasztelanowo zadawać gwałtu?

KASZTELANOWA.

Kto wie?... może. Pragnę szczęścia Tereni, a w tym związku widzę jej szczęście.

REJENT.

Czy ona jednak widzieć je w nim będzie?

KASZTELANOWA.

Kocha mnie, zrobi zatem co zechcę.

REJENT.

Jeśli jednak, prócz pani kasztelanowej, kocha jeszcze kogo innego?

KASZTELANOWA (gwałtownie).

Kogo?

REJENT (po chwilowym namyśle).

A choćby Ludwika.

KASZTELANOWA (j. w.).

Nigdy!... To być nie może. (Chwilę myśli, potem mówi uspokojona). Nie, nie, nie... to być nie może.

REJENT.

Dla czego?... czyż nie jest dobrą partya?... Majętny...

KASZTELANOWA.

Ani mnie, ani Tereni — pojmujesz — o majątek nie chodzi. To co jej pozostawię, na dwoje wystarczy.

REJENT.

Dobrze urodzony...

KASZTELANOWA.

Za dobrze!

REJENT.

Nie rozumiem.

KASZTELANOWA (prawie szeptem).

Zbyt bliskie pokrewieństwo ich łączy.

REJENT.

Nie wiem nic nawet o powinowactwie.

KASZTELANOWA.

Ale ja wiem, niestety!

REJENT.

Racz łaskawie mi wytłómaczyć. (Chwila milczenia).

KASZTELANOWA (po krótkim wahaniu).

Nie chcę, nie mogę, nie powinnam. Tajemnica smutna... bardzo smutna.

REJENT (zmieszany).

Tajemnica!... która mu ujmę przynosi?

KASZTELANOWA.

Nie badaj rejencie. Ciekawością swą wystawiasz przyjaźń moją dla ciebie na ciężką próbę. Nic z tego co wiem wyjawić nie mogę.

REJENT (z wzruszeniem, panując jednak nad sobą).

Chciej mi pani przebaczyć, ale jestem dalekim krewnym Ludwika, byłem jego opiekunem, los zatem i dobra sława mego pupila żywo mnie obchodzi. Po raz pierwszy słyszę o tajemnicy, która ma być dla niego plamą... Czy plamą? (Kasztelanowa milczy). Dotąd, dali Bóg, o ile uważałem, pani kasztelanowa okazywała mi dużo życzliwości...

KASZTELANOWA (z mimowolnym wstrętem).

O!

REJENT.

Może wyraziłem się niewłaściwie... Nie... nie życzliwości... ale... uznania. Wszakże uznania? (Kasztelanowa milczy). Charakterowi jego nie miałaś nic do zarzucenia?...

KASZTELANOWA.

Szanuję go, jako Polaka i człowieka.

REJENT (nerwowo i z wzrastającym wzruszeniem).

Powierzyłaś mu pani zarząd całego swego majątku. Jeśli bezinteresownie podjął się administracji twoich rozległych posiadłości ziemskich, to przez cześć, jaką dla ciebie wyznaje, — niemal przez miłość synowską, bo pragnął oszczędzić ci zmartwień i kłopotów...

KASZTELANOWA (przerywa).

Wdzięczną mu jestem za to. Przyznaję, że mam względem niego obowiązki... ale dług zaciągnięty spłacę w testamencie, który dziś-jutro spiszesz. Inaczej nie mogę. Gdyby jednak śmiał sięgnąć po rękę Tereni, gdyby spokój jej niewinnej duszy zakłócił... o! to... (Urywa). Zmęczoną jestem, rozdrażnioną, upokorzoną obecnością tamtych, których nienawidzę, którymi pogardzam... Chryste Panie, przebacz!... (Robi znak krzyża świętego na piersi i powtarza szeptem). Przebacz mi, Chryste Panie! (Nagle wybucha). Ależ, ja ich przecież kochać nie mogę! (Znowu się żegna i mówi głosem pełnym smutku). Ach! bo i ty rejencie uwziąłeś się dziś na mnie... Dokuczasz. O! lepiej nie mówmy już o tem wszystkim!

REJENT (z gorączkowym naciskiem).

Przeciwnie, pani kasztelanowo dobrodziejko, o Ludwiku jeszcze mówić musimy. Honor jego jest dla mnie święty, jak mój własny.

KASZTELANOWA.

Któż honoru jego dotyka?!.. Gorączka z ciebie

kochany rejencie. Tak natarczywie nalegasz, że gdyby nie długoletnia przyjaźń...

REJENT.

Zacna, czcigodna pani... przebacz, daruj, ale ja muszę wiedzieć, co mu zarzucasz.

KASZTELANOWA.

Żądasz tego koniecznie?

REJENT.

Proszę, błagam...

KASZTELANOWA.

Ha! Bóg widzi, że się opierałam.

REJENT.

Słucham...

KASZTELANOWA (szepcem).

Ludwik jest synem... kasztelana. (Rejent w pierwszym momencie robi gest zaprzeczenia, ale jakby sam przeląkł się tego gestu, cofa się na lewo w milczeniu).

#### SCENA 9.

CIŻ SAMI, SZAMBELAN, MATYLDA, HRABIA, KAROLINA, KSIĄŻĘ, TERENIA, LUDWIK. Wchodzą wszyscy z kieliszkami w ręku. MACIEJ za nimi z tacą i dwoma butelkami szampańskiego wina.

SZAMBELAN.

Przezacna babciu!... Na moją propozycję wszyscy, jak jeden mąż, powstali od stołu, aby przyjść tutaj i wznieść toast na cześć twoją. (Do kamerdynera). Macieju! podaj nalany kieliszek panu rejentowi. (Maciej zbliża się do rejenta i podaje. — Szambelan zwraca się znowu do kasztelanowej i mówi z krasomówczą swadą). Twoje cnoty patryarchalne, szacunku godna matrono, twoje zasługi obywatelskie...

KSIĄŻĘ (przerywa).

Za pozwoleniem. Zastrzegliśmy sobie, że mowę odłożysz na jutro. Dziś pani kasztelanowa zmęczona.

SZAMBELAN.

Ależ tylko słów parę...

KSIĄŻĘ.

Jutro ... jutro. (Wznosi kieliszek w górę). Zdrowie pani kasztelanowej! (Wypija, przechodzi przez scenę i staje z prawej strony fotelu, na którym siedzi kasztelanowa).

KAROLINA i MATYLDA (razem).

Zdrowie babuni!

SZAMBELAN, HRABIA, LUDWIK i REJENT (razem).

Zdrowie pani kasztelanowej!

TERENIA (z kieliszkiem w ręku, klęka na taburecie przed babką).

Zdrowie babci ukochanej! (Wypija i całuje ręce kasztelanowej).

KASZTELANOWA (całując ją w czoło).

I ty mała z kieliszkiem w ręku?!... To podobno po raz pierwszy?

TERENIA.

Piję po raz pierwszy babuniu... ale już trzeci kieliszek. Czuję, że mi się kręci w głowie... i szumi, szumi, szumi...

KASZTELANOWA (z radością).

Jaka rozochocona!... Taką jej nigdy nie widziałam.

KSIĄŻĘ (mówi nachylając się do kasztelanowej).

Namówiłem pannę Teresę do tych trzech kieliszków. Przynęła mi, że zdrowie twoje, pani kasztelanowo, wypije duszkiem.

TERENIA (pokazując pusty kieliszek).

I wypiałam!

KASZTELANOWA (z widoczną radością).

Dziękuję. (Całuje Terenię i podaje rękę księciu jak do uścisku). Dziękuję. (Księżę nachyla się i całuje podaną rękę z uszanowaniem).

LUDWIK.

Ach! (Otwiera drzwi od ogrodu i wychodzi).

KAROLINA (z rozdrażnieniem nerwowem do Matyldy).

Rozczulająca scena! (n. str.) Hipnotyzuje ją wzrokiem!

REJENT (n. str.).

Ooo! mości księżę... zaczekaj, jeszcze nie wygrałeś.

KASZTELANOWA (bierze kieliszek z rąk Tereni).

Macieju, proszę i mnie nalać... (Maciej zbliża się i nalewa)... pół kieliszka. Na podziękowanie... wszystkim. (Niesie kieliszek do ust).

Zasłona spada.

### AKT III.

Tenże sam pokój co w dwóch poprzednich.

#### SCENA 1.

PETRONELLA (wchodzi sama z plikiem gazet pod pachą).

Noc nieprzespana i obawa o moją Terenię tak mi tu (wskazuje na serce) i tu (wskazuje na czoło) wszystko zawieruszyły, że doprawdy nie wiem, jak ja te gazetiska przeczytam. Przeczytać jednak trzeba, bo nuż pani kasztelanowa zapyta: »Panno Petronello, co w świecie politycznym słyhać?« Wprawdzie gościmi zajęta, ale nuż zapyta! (Przegląda). Wczorajsze.—Grześ jeszcze świeżych z poczty nie przywiózł. Ha! trzeba się wziąć do pańszczyzny! (Otwiera jeden dziennik). Artykuł wstępny, drukowany większemi literami. Może tu będzie co ciekawego. (Czyta po cichu, mruczając). Eee, gdzie tam! jak prawdę kocham, nie ma faktów. (Chwila milczenia). Biedne stworzonko rączyny swoje do mar wyciągało... (Przegląda dzienniki). Szukajmy dalej. (Czyta głośno). »Stan ziemiański pytlujący dworskie obszary na miałki piasek lilipucich udziałów...« (Mówi). Miałki piasek... androny! Nie umiem dziś szukać. Głowa boli— a jednak coś przeczytać należy i zapamiętać. Litery skaczą przed oczami niby szambelan w walcu.— Dali pan, lekko tańczy. Powiada, żem do królowej Izabelli podobna. Miły człowiek! — Ale!... miły, a pragnie zguby mego aniołka. (Czyta). »Ogrom logiki,

skoncentrowanej na tyłach, poglądy wykopane z jaskiń troglotydów, albo sprowadzone wynędzniałemi fornalkami z Pekinu...« (Mówi). Nic nie rozumiem. (Chwila milczenia). Po twarzyczce bladej łyzy spływały i patrzyła tak dziwnie, tak dziwnie... (Wstrząsa się). Ale czytajmy. (Czyta, a potem w roztertaniu, z oczami w jeden punkt utkwionemi powtarza, jakby uczyła się na pamięć). »Ogrom logiki, skoncentrowanej na tyłach...« Ogrom logiki, ogrom logiki, ogrom logiki... skoncentrowanej, skoncentrowanej, skoncentrowanej... (Nagle urywa). Tfu! jak prawdę kocham, na co ja się tego uczę. Tu nie ma faktów. (Znowu jakby senna wlepia oczy w gazetę i powtarza machinalnie). Poglądy wykopane z jaskiń troglotydów, troglotydów, troglotydów... albo przywiezione, przywiezione...

SCENA 2.

REJENT, PETRONELLA.

REJENT (wszedł głębią).

Czy jest co nowego w dziennikach?

PETRONELLA (bezmyślnie).

Ogrom logiki, skoncentrowanej na tyłach.

REJENT.

Co? co?

PETRONELLA (j. w.).

Poglądy wykopane z jaskiń troglotydów, albo przywiezione wynędzniałemi fornalkami z Pekinu...

REJENT.

Dajże pani pokój! Nie czas na żarty!

PETRONELLA (wstrząsa się, jakby wracała do przytomności).

Jak prawdę kocham, tak stoi wydrukowane.

REJENT.

Albo to jedno głupstwo drukują. Papier cierpliwy!



PETRONELLA.

Ale pan rejent dziś jakiś niecierpliwy.

REJENT.

Bo i święty jużby cierpliwość stracił!

PETRONELLA.

Tak źle idą układy o sprzedaż mojej sarenki?

REJENT (gniewnie).

Źle! (Przechadza się). Czy nie mówiłem już pannie Petronelli, że sprzedać jej nie myślę. Przeciwnie, czy-  
nię co mogę, żeby ją ochronić...

PETRONELLA (z błagalnym gestem).

Ochroń... wybaw!...

REJENT.

Trudno, bardzo trudno. Cała moja praca idzie  
na marne w obec uprzedzeń kasztelanowej. (Trze ręką  
czoło). Jak je usunąć, rozproszyć...

PETRONELLA.

Muszę panu rejentowi coś ważnego opowiedzieć.

REJENT.

Co?

PETRONELLA.

Jaką ja straszną noc miałam!

REJENT (z niezadowoleniem).

A co mnie do nocy panny Petronelli!

PETRONELLA.

Ależ bo ja nie o sobie chcę mówić. Posłuchaj  
pan... proszę. Oto oni — ci z miasta — wiodą ją  
na zgubę, na zatracenie duszy i ciała. Wczoraj wie-  
czorem spolił mi dziecko, które dotąd wina nie znało.

REJENT (z lekceważeniem).

Ba! parę kieliszków szampana!

6\*

PETRONELLA.

A czy pan rejent wie, jak te parę kieliszków na nią oddziało?... W nocy...

REJENT (niecierpliwie).

Cóż u licha z tą nocą?!

PETRONELLA.

O! pozwól-że mówić!... Sarenka moja... nie... to jest tak... Terenia... Od tego ciągłego przerywania głowę tracę... nie wiem co mam pierwej powiedzieć. (Po chwilowym namyśle). Zaraz po kolacyi, to jest raczej po obiedzie, położyłam się do łóżka pierwsza. A nie wiem czy panu rejentowi wiadomo, że sypiam w jej pokoju. Zmęczona, usnęłam odrazu. Nagle budzi mnie jakiś szelest, stąpanie, westchnienia... Przecieram powieki i co widzę...

REJENT.

Dali Bóg, powiedz-że raz pani!

PETRONELLA.

Ona, moja dziecina, jak prawdę kocham, stoi przy oknie — ze źrenicami, ot takimi dużymi. Ramiona i rączęta drobne do jakichś mar wyciąga; po bladej twarzyczce łzy płyną; a oczy utkwione w księżyc, patrzą tak dziwnie, tak dziwnie... że mi serce w piersi bić przestało.

REJENT.

Czy to przytrafiło się po raz pierwszy?

PETRONELLA.

Coś podobnego, osobliwie kiedy była dzieckiem, zdarzało się czasem, ale nigdy w tym stopniu. Ot, usiadła niekiedy, jakby w kłębuszek zwinięta, obejmując dłońmi kolana; mętym wzrokiem wiodła za miesiącem — nie zrywała się jednak, nie chodziła, nie tonęła całą duszą w jasnowidzeniu. Bo, że to było jasnowidzenie, dam się w kawałki posiekać.

REJENT.

Mówiła co?

PETRONELLA.

A mówiła.

REJENT.

Co?

PETRONELLA.

Kiedy bo nie wiele rozumiałam, a i nie wszystko dosłyszałam.

REJENT.

Masz tobie! Jakże panna Petronella słuchała?

PETRONELLA.

At! niby się to takich rzeczy słucha, jak w dzień, zwykłego dyskursu. Strach trzęsie, serce boli, a pulsy wałą w skroniach, jak młoty kowalskie. Wiem tylko — o! tak, przypominam sobie, że mówiła o nieboszce matce i ojcu, o Ludwiku i o babce, o panu, panie rejencie, i o Karolci. A nawet księcia wspominała...

REJENT (rozważając).

I o księciu wspominała. Może on naprawdę główkę jej zawrócił.

PETRONELLA (z oburzeniem).

Winem chyba, nie swoją osobą! — Takich przypuszczeń głosić nie należy. Można w złą godzinę wymówić. Tfu! na psa uroki, niech nas od tego ręka Boska broni! — Jeśli wspominała, to za sprawą złego ducha, pod wpływem owych paru kieliszków szampana, bo ten wasz książę ze swojemi czarnemi, jak stal błyszczącemi oczami, to chyba szatan wcielony.

REJENT.

Cóż się stało dalej?

PETRONELLA.

Chociaż zerwałam się z posłania na równe nogi, nie śmiałam na nią zawołać, żeby nie omdlała przy-

padkiem; więc drząc z obawy i zimna — bo noc była chłodna — patrzyłam jeno, nie wiedząc co począć, nie śmiejąc nawet płakać, pomimo, że łzy do oczu się cisnęły. Trwało to pewno dobrych parę godzin, aż dopiero, kiedy księżyc zsunął się za krzaki bżów, co rosną pod naszymi oknami, Terenia zwróciła się do klęcznika, padła na kolana i gorąco modlić się zaczęła. Modliła się kilka minut. Potem powstała, przystąpiła do swego łóżeczka, zdjęła szlafroczek biały — który prawdopodobnie wstając narzuciła na ramiona — wsunęła się pod kołderkę, śliczną główkę złożyła na poduszce i z twarzą, jakby w rosie skąpaną, usnęła.

REJENT.

Nie budząc się już więcej?

PETRONELLA.

Nie — pewno nawet śpi jeszcze. Ja-bo spać nie mogłam; czuwałam nad nią do świtu. Z pierwszemi promieniami wschodzącego słońca zesłam na dół; kręcę się, chodzę — ale jak pijana. Ani słówka nie rozumiałam z tego co czytałam w gazetach. Głowa mnie boli, a duszę mam taką strapioną, jakbym przeżuwała jakie wielkie nieszczęście.

REJENT.

I bez jasnowidzenia odgadnąć łatwo, że wisi ono nad nami; dla tego radzę nie wspominać pani nikomu o tem, coś mi opowiedziała. Nie należy obudzać niepokoju i zamieszania w domu. Chciej wierzyć, że szczęścia Tereni pragnę, ale żeby je zapewnić, potrzebuję całej przytomności umysłu, na którą dziś trudno mi się zdobyć. I ja jestem mocno rozdrażniony, zmęczony przykreimi myślami... i ja całą noc nie spałem. (Spostrzega Ludwika za szklannemi drzwiami). Sza, Ludwik!... Przed nim ani słowa. Staraj się, panno Petronello, być wesołą...

PETRONELLA.

Nie potrafię. Wolę odejść do gospodarstwa...  
Mogłabym się zdradzić. (Wychodzi).

SCENA 3.

REJENT, LUDWIK.

LUDWIK (wchodzi głębia. — Strój myśliwski, dubeltówka przez ramię).

Dzień dobry, wuju.

REJENT.

Dzień dobry. — Co ten ubiór oznacza?

LUDWIK.

Wracam z pola, a teraz, jak tylko koń wytchnie,  
jadę do lasu.

REJENT.

Nocowałeś u siebie, w Dębnikach?

LUDWIK.

Tak.

REJENT (przygląda mu się uważnie).

Źle wyglądasz... zmizerniałeś...

LUDWIK.

Bo mało spałem. Chciałem zamknąć kwartalne  
rachunki... pisałem...

REJENT.

Co pisałeś?

LUDWIK.

Dyspozycję dla rządu, którego raniutko wypra-  
wiłem do miasta z pieniędzmi na podatki.

REJENT (który w ciągu słów poprzednich Ludwika zdjął mu dubel-  
tówkę z ramienia).

I teraz jedziesz do lasu?

LUDWIK.

A tak. Zwierzyna przyda się dla gości. Ogary

wysłałem na Leśniczówkę. Upoluję zająca, może dwa... i wrócę tu na śniadanie.

REJENT (który oglądał przykład mechaniczny fuzyi).

I na zająca masz strzelbę nabitą kulami?

LUDWIK.

Czy kulami?... A tak, tak, przypominam sobie. Ekonom mi mówił, że pod Maćkowym gajem dziki wyżerają i tratuja owies...

REJENT (który bardzo uważnie przypatrywał się Ludwikowi, nagłym ruchem rozpina kurtkę na jego piersi i wyjmuje z zanadru rewolwer).

A tem do czego myślisz strzelać?

LUDWIK (nieco zmieszany).

Tem?!... (Chwila milczenia). Przez roztargnienie zabrałem z sobą; leżał na stole, pod ręką...

REJENT.

Ludwiku! Ludwiku! Ludwiku!

LUDWIK.

Ależ-bo doprawdy nie rozumiem o co ci chodzi! Badasz mnie jak studenta, czy przestępcę. Wziąłem rewolwer, bo...

REJENT (przerywa).

Nie kłam. Dusza twoja nie może mieć dla mnie tajemnic. Jeszcze kiedy byłeś dzieckiem każdą myśl najskrytszą z oczu twych czytałem...

LUDWIK.

Tak, ale teraz...

REJENT.

Czytam ją teraz lepiej niż niegdyś. (Bardzo wzruszony przechadza się chwilę, potem nagle zatrzymuje się przed Ludwikiem, który jakby nie chciał się dalej bronić usiadł na krześle i głowę zwiesił na piersi). Daj mi słowo, że dopóki ja nie stracę nadziei, nie targniesz się na swoje życie.

LUDWIK (powstaje i mówi smutnie, ale spokojnie i bez zbytnej tkliwości).

Słowa nie potrzebuję ci dawać, drogi wuju, bo myśl o samobójstwie może wprawdzie, jak błędny ognik migotała chwilę w moim mózgu, nie zamieniła się jednak dotąd w zamiar stanowczy.

REJENT.

Cóż znaczy ten rewolwer?

LUDWIK.

Powtarzam, że mimowoli zabrałem go ze stołu. Był to odruch bezwiedny, z którego sprawy sobie zdać nie umiem. Przyczyna leży w tajemniczej głębi mojej duszy, wstrząśniętej czemś, co się tu prawdopodobnie stało, a o czem nie wiem.

REJENT.

Ależ tu się nic jeszcze nie stało!

LUDWIK (nie zważa na przerywanie i mówi niemal do końca sceny, chwilami jakby marzył, chwilami z zapalem).

A może świadczy tylko, że bardzo nieszcześliwy i zmęczony przymusem, jaki przez ciebie i dla ciebie zadawałem sobie wczoraj, cały wieczór.

REJENT.

Wszakże to dla twego dobra.

LUDWIK.

Czy myślisz, że mój udany spokój, i milczenie ciągle wśród ogólnej paplaniny, i zachowanie się godne dobrze wychowanej lalki salonowej, zmieniło mnie istotnie w lalkę? że wzrok i słuch utraciłem? że nie dostrzegłem, iż ta, którą dotąd miałem za anioła, lgnie do mego rywala, przyciągana magnesem zmysłowego czaru? że pod jego spojrzeniem przeszywajacem, pod wpływem szczerze nalewanego szampana, rozwija się i rumieni jak pączek róży słońcem ogrzany? ... Tylko dla mnie barwy, występujące na jej twarzyczkę, nie

były już kolorami dziewiczego rozkwitu. Inne życie, inna młodość grała w jej krwi winem poruszonej; inne wrażenia cisnęły się pod jej śliczne czoło; inne uczucia tętniły w serduszkach.

REJENT.

Co tobie Ludwiku?!

LUDWIK.

Chciej wierzyć, że w miłości mojej dla niej, prawdopodobnie dzięki głuszy i osamotnieniu, jakie tu nas otacza, namiętność — bo jestem człowiekiem i ludzkich ułomności się nie wypieram — namiętność, mój, poddawała się i ulegała czci, uwielbieniu i ufności bezwzględnej. Ubóstwiałem ją, jak ideał przez poetów wymarzony w chwilach, kiedy druga połowa ich duszy unosi się w krainę natchnienia. To bowiem, co wszyscy uważają za złudzenie, drogi wuju, bywa często jedyną prawdą, chociaż nikt nie zbadał jej analizą doświadczeń i nie zważył na szali wiedzy.

REJENT.

Lunatyk!... dali Bóg i on lunatyk!

LUDWIK.

Nieraz przedmioty i wrażenia, o których ona myślała, odtwarzały się w mózgu moim w takich-że samych obrazach. Uważaj: ona była w swoim pokoiku, tu w tym domu, a ja w Dębnikach. To zaś znowu, co moją głowę zaprzętało, odczuwała Terenia równocześnie ze mną: często nawet w większą siłą. Obecnie... czy z jej winy?... nie wiem dotąd... żmija zazdrości, budząca się w głębi mojej piersi, pozrywała nici, łączące nasze duchy. W tej chwili nie czuję jej myśli w sobie, ani przy sobie.

REJENT.

Zazdrość... tak zazdrość zamąciła ci zmysły!



LUDWIK.

Miłość nasza ogromna, a jednak słów, wyznań i przysiąg w niej mało. Tak mało, że to czem serca nasze zdawały się być przepełnione, nazwałbym raczej przecuciem niż odczuciem jej ogromu. Smutek powszechny — jak chmura wiszący nad całym społeczeństwem — i kult ojczyzny nas zjednoczył. Dziedziczność tego kultu nosimy we krwi oboje. On ją w mistyczne sfery wznosi i wiąże ze mną, mniej zdolnym do duchowego lotu. To co ona widzi, ja dostrzegam ledwie jak przez mgłę — i tylko jej oczami. Lecz ona wniosków z widzeń swoich nie wyciąga, kiedy ja z nich tworzę wiarę — wiarę przyszłości.

REJENT.

Bo ją kochasz i pragniesz zbawienia ojczyzny; a smutek powszechny, o którym wspomniałeś, i niepewność, jaka nas zewsząd otacza, pędzą cię w krainę marzeń i halucynacyj, odrywając od rzeczywistości.

LUDWIK.

Wyrazu »kocham« Terenia nie wymówiła nigdy, nawet w najszczytniejszem upojeniu; a jednak wiedziałem dotąd, że jestem dla niej najbliższym z bliźnich. To też — w obec tego, co zaszło wczoraj — przeląknęłam się, iż tak łatwo lepsza i niewinniejsza część naszej wspólnej istoty, doskonalsza połowa mego ducha uległa pokusom czcicieli złotego cielca, złotego użycia i walki o złoty byt. Mętna fala ostatniej — dla tego groźna, że jest falą, niosącej śmierć i zagładę przeszłości — uderzyła o brzeg naszej cichej oazy odrodzenia. Jeśli ją zaleje, zginąć muszę... chociaż dziś nie brałem z sobą rewolweru w samobójczym zamiarze. (Chwila milczenia).

REJENT.

Z tego co powiedziałeś nie wiele zrozumiałem. Wiem tylko, że kochasz mocno, a ja przed miłością szczerą i wielką czoła uchylam, chociaż umysł mój

pospolity, bez skrzydeł, w mistyczne kręgi wzbijać się nie umie. (Z rozrzewnieniem). Gdybym był samolubem, upomniałbym się o kawałek twego serca, które pomimo żeś je oddał Tereni, do mnie także należy; gdybym nie był tak znękany, żebrałbym choć o trochę litości nad starcem, który cię wychował i tobą tylko żyje. Ale dziś... czuję, że nic bym u ciebie nie wskórał!

LUDWIK (ze wzruszeniem, chwytając go za rękę).

Wuju!

REJENT.

W nadprzyrodzony świat nie zaglądałem nigdy. Mniemam, że dość będzie czasu zapoznać się z nim po śmierci. Ten co nas otacza — wierzaj mi — równie ciekawy i ciemny. O ile zdrowy rozsądek pozwalał, badałem go pilnie, a jednak nie dużo się dowiedziałem. Obecnie wydaje mi się morzem bezdennem, pełnem tajemnic i grozy. Nie zważam przecie na to i jak nurek śmiało rzucam się w głębinę, aby z czarnej toni wynieść dla ciebie lśniąca perłę szczęścia.

LUDWIK (rzucając mu się w objęcia).

Wuju, kochany wuju!

REJENT (ściskając go serdecznie).

Dziękuję ci drogi chłopcze. Tego uścisku potrzebowałem. Lżej mi po nim na sercu.

SCENA 4.

LUDWIK, REJENT, GRZEŚ, potem MACIEJ.

GRZEŚ (do Ludwika).

Czy, proszę pana, konia rozsiodłać?

LUDWIK.

Dlaczego?

GRZEŚ.

Oprowadzałem go i oprowadzałem, ale panna Petronella każe duchem jechać na pocztę po kores-

pondencyę i gazety, więc poprosiłem stangreta, żeby bez moment potrzymali, a sam przyleciałem tu zapytać.

LUDWIK.

Zaczekaj. Pojedziemy razem, bo i ja do miasteczka. (Maciej wchodzi).

REJENT (z ukrywaną radością).

Więc już nie do lasu?

LUDWIK.

Nie. Przypomniałem sobie, że mam podpisać kontrakt z młynarzem.

REJENT.

Tem lepiej. (Zwraca się do kamerdynera). Maciej zabierze rewolwer i dubeltówkę...

MACIEJ (zbliża się i bierze broń do ręki).

Dobrze, panie rejencie. (Do Ludwika). Zanieść pewno do kancelaryi, gdzie przygotowałem do przebrania się, jak pan powróci.

LUDWIK.

Dobrze — dziękuję.

REJENT.

A ostrożnie, bo nabita.

MACIEJ.

Umiem ja się z tem obchodzić. Bywało za życia ś. p. kasztelana...

REJENT (niecierpliwie).

Wiem, wiem jak było za kasztelana. (Całuje Ludwika). No, jedź już jedź. A wracaj prędko... i nie trać ufności.

LUDWIK (ściskając rękę rejenta).

Za pół godziny tu będę. Do widzenia. (Skinął na Grzesia i wychodzi z nim razem głębia).

REJENT (w smutku pogrążony, patrzy za Ludwikiem).

Przed chwilą wątpił, rozpaczał... a teraz porwał mi go z przed oczu, jakby podmuch jakiejś nagłej i jasnej, jak piorun, nadziei. O! jak ja się tych złudzeń lękam! (Głośno do Macieja). Gdzie goście?

MACIEJ.

W altanie, pod wielkim orzechem. — Nie ma co pan rejent do rozkazania?

REJENT.

Nie mój poczciwy Macieju. (Maciej idzie ku drzwiom na lewo). A!... wyjmij naboje ze strzelby i rewolweru. Zawsze to bezpieczniej.

MACIEJ.

Czemu nie, i owszem. Umieję ja to, umiem. Nieboszczyk kasztelan mnie uczył. (Wychodzi).

SCENA 5.

REJENT (sam).

Kasztelan!... Wszyscy go wspominają. Od wczoraj i ja myślę o nim ciągle, a myśl uprzykrzona, jak cierń rani mi czoło, sprawiając ból nieznośny. Nigdy ten człowiek za życia nie nabroił tyle złego co dziś, w kilkanaście lat po zgonie! (Chwila milczenia). On... on miał być ojcem Ludwika! Kłamstwo! fałsz!... prawdy jednak wyjawić nie mogę. Wyznaniem szczerem możebym zmienił dla niego usposobienie kasztelanowej, ale zmarłą wydałbym na pastwę złośliwych sądów ludzkich, a serce jej syna zdruzgotałbym tym ciosem niespodzianym. Za taką cenę, ja mu dać, on przyjąć szczęścia nie może. (Chwila milczenia). W świat nadprzyrodzony nie zaglądam, jednak coś mnie z nim łączy. (Szepcem). Łączy mnie z nim ziemską dawną miłość moja, piaskiem grobu przysypana, a przecięż wspomnieniami żywa. (Chwila milczenia). Zdawałoby się czasem, że dusze na ziemi i duchy tonące w mgłach

pośmiertnych przenika i jednoczy jakiś prąd magnetyczny... (Wstrząsa się febrycznie) ... Ale podobne myśli przychodzą tylko w chwilach smutku, tęsknoty, rozpacz... Czy żeby pocieszyć? (Chwila milczenia). Mój Ludwik!... biedny, biedny!... Jak go z Terenią połączyć w obec tylu przeszkód?! (Słychać grzmot oddalony.— Rejent idzie do okna). Ani jednej chmurki.— Po chłodnej nocy upał.— Gdzieś w dali huczący grzmot zapowiada burzę.— Ach! jak ciężko na sercu! (Patrzy w niebo).

SCENA 6.

REJENT, KAROLINA.

KAROLINA (zbliża się do niewidzącego jej rejenta).

Dzień dobry.

REJENT (wstrząsa się, jakby ze snu zbudzony).

Ha! (Odwraca się i spostrzega hrabinę). Przepraszam.— Dzień dobry... Zamyśliłem się...

KAROLINA.

Wszakże nie o niebieskich migdałach?

REJENT (dobrodusznie, jeszcze z odcieniem smutku).

Kto wie!... może i o niebieskich.

KAROLINA.

A ja mojem niewczesnem »dzień dobry« przywołałam pana z krainy marzeń do smutnej rzeczywistości.

REJENT.

Dziękuję — to przysługa.

KAROLINA.

Szczęśliwą jestem, że ją mimowoli oddałam.

REJENT.

Czy pani hrabina ma do mnie interes?

KAROLINA.

Nie i tak. Szukałam wprawdzie chłodu tylko, ale miałam nadzieję, że pana spotkam. (Porusza wachlarzem). W altanie dokuczało mi gorąco... Upał nie do zniesienia! (Porusza wachlarzem). Wszyscy zgromadzeni w ogrodzie, pod wielkim orzechem, nieustannie zadają sobie pytanie: co się z panem dzieje. Jest tam babunia, mój mąż, Matylda, szambelan... nawet księżę. Brak tylko Tereni, która podobno po wczorajszych libacyach wysypia się dziś dłużej niż zwykle.

REJENT (chce odejść).

Śpieszę więc...

KAROLINA.

Zatrzymaj się chwileczkę. Wprawdzie w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie mam do pana interesu, lecz... lecz... powodowana wrodzoną kobiecą ciekawością, pragnęłabym go o coś zapytać.

REJENT.

Jestem na jej usługi.

KAROLINA.

Sądząc po kwaśnych minach szambelana i Madzi, oraz po pesymistycznych zdaniach, jakie mój mąż co moment wygłasza, mniemać by można, że układy, które pan — panie rejencie — prowadzi, nie przychodzą do skutku. Tymczasem rozpromienione oczy babuni i anielska błogość, rozlana na twarzy księcia, przeczą temu przypuszczeniu. Chciej mi łaskawie powiedzieć, jak istotnie rzeczy stoją?

REJENT.

Od wczoraj nie zmieniły się na jotę.

KAROLINA.

Czy pan jesteś za połączeniem Tereni z księciem?

REJENT.

Jako pełnomocnik jednej ze stron spełniam dane mi polecenia.

KAROLINA.

Nie o to pytam. Chciałabym poznać własne pańskie zdanie.

REJENT.

Nie moją rzeczą sądzić o układzie, którego cała rodzina pragnie.

KAROLINA.

Cała, jak cała!... Ja naprzykład nie zachwycam się tą kombinacją.

REJENT (z mimowolną radością).

Czy być może?

KAROLINA.

Niezawodnie. (Na str.). Zdaje mi się, że znalazłam sprzymierzeńca.

REJENT (panując nad sobą, bardzo chłodno).

Chwilowe wątpliwości, które czas rozproszy.

KAROLINA (n. str.).

Sprzymierzeniec się cofa. (Głośno). Nie; mówię stanowczo i szczerze. Nie widzę w układzie szczęścia dla stron kontraktujących i korzyści dla pośredników.

REJENT (j. w).

Może pani hrabinie nie powiedziano, że kasztelanowa zobowiązuje się wypłacić...

KAROLINA.

Wiem.

REJENT.

A zatem?!

KAROLINA.

Nigdy nikomu nie życzę... (zatrzymuje się)... nic złego, a tembardziej mojej babce, ale ponieważ mówimy o interesach, które pan rozumiesz lepiej odemnie, odwołuję się więc nie do przyjaciela rodziny, lecz do prawnika — do pańskiej gruntownej znajomości przedmiotu. Wszakże prędzej czy później to co

dziś mamy otrzymać jako jałmużnę, przypaść nam musi w udziale jako spadek.

REJENT.

Rzecz zależna od brzmienia testamentu.

KAROLINA.

Przecież nas babka w nim nie wydziedziczy?

REJENT.

Pani hrabino... nie wiem.

KAROLINA.

Postanowienie podobne byłoby sprzeczne z literą prawa, zatem nieważne.

REJENT.

Nieważności trzeba będzie dowieść procesem, który przeciągnąć się może długo — lata całe. (Słychać grzmot oddalony).

KAROLINA (już nie panując nad sobą, gorączkowo).

A zresztą mniejsza o spadek, jeśli do zerwania układów zmusza ważny wzgląd moralny.

REJENT.

Czy jest wzgląd taki?

KAROLINA.

Jest.

REJENT.

Pani hrabina raczy mi objaśnić...

KAROLINA.

Nie mogę.

REJENT.

Daruję pani zatem, ale nie znając owej ważnej przeszkody moralnej, zmuszony jestem prowadzić układy dalej.

KAROLINA.

Wyjawię ją w ostatniej chwili.



REJENT.

Może wtedy będzie już za późno.

KAROLINA.

Czekajmy — zobaczymy!

REJENT.

Bądź co bądź, proszę mi wierzyć, że w sprawie tej chcę być pomocnym, bo chociaż nie znam i nie rozumiem powodów, które wpływają na postanowienie hrabiny, domyślam się, że tylko dobro panny Teresy ma pani na celu. (W głębi ukazuje się Terenia bardzo błada).

SCENA 7.

TERENIA, KAROLINA, REJENT.

KAROLINA.

A! właśnie i ona. Pragnę z nią pomówić. Chciej odejść... (Ściska mu rękę). Przepraszam. — Tam w altanie czekają na pana. (Rejent kłania się i idzie w głąb, gdzie spotyka Terenię. Na twarzy jej maluje się smutek i znużenie. Rejent zatrzymuje się chwilę, patrzy na nią z widocznym współczuciem i wzruszeniem, potem bierze jej rękę i składa na niej pocałunek. — Następną krótką rozmowa z Terenią, prowadzi się półgłosem, prawie po cichu).

TERENIA (zwykłym ruchem cofając rękę).

Ach! panie rejencie...

REJENT.

Czy ucałowaniem rączki sprawiłem przykrość?

TERENIA.

Nie... o! nie... ale ja... się wstydzę... nie zasłużyłam...

REJENT.

Pani hrabina pragnie z panią pomówić.

TERENIA (szeptem).

Boję się...

REJENT.

Odważnie!... przecie to siostra. (Kłania się i wychodzi).

SCENA 8.

TERENIA, KAROLINA.

KAROLINA.

Chodź tu, Tereniu.

TERENIA.

Idę... siostró.

KAROLINA.

Siostró!... Nazwałaś mnie siostrą? Zrozumiałaś nareszcie, że obcą dla ciebie być nie mogę. To dobrze.

TERENIA.

Powtórzyłam bezwiednie za panem rejentem.

KAROLINA.

I żal ci tego teraz, niedobra mała?

TERENIA.

Nie — nie żal, bo spostrzegłam smutek w twoich pięknych oczach.

KAROLINA.

Ty widzę i komplementa mówić umiesz.

TERENIA.

To prawda, nie komplement. (Po chwili). Pragnę być siostrą wszystkich smutnych.

KAROLINA.

Milszym ci smutek od wesołości?

TERENIA.

Nie — ale wolę smutnych. Sama częściej jestem smutną, niż wesołą.

KAROLINA.

A wczoraj wieczorem?

TERENIA.

O!

KAROLINA.

Zdawałaś się szczęśliwą. Byłaś rozbawioną... śmiałaś się...

TERENIA.

Tak.

KAROLINA.

Nawet podpiłaś sobie nieco.

TERENIA (spuszcza oczy).

Wstyd mi...

KAROLINA.

No, wstydzic się nie ma czego.

TERENIA (szepcem).

Jest... jest. Wino mnie odmieniło; byłam inną niż zwykle — gorszą.

KAROLINA.

Tak ci się tylko zdaje.

TERENIA.

Pewną jestem. Zachowanie się moje sprawiło przykrość...

KAROLINA.

Komu?

TERENIA.

Paru osobom.

KAROLINA.

Tłómaczysz się niejasno; trudno cię zrozumieć.

TERENIA.

Bo i ja wielu rzeczy na jawie... po przebudzeniu... nie rozumiem, chociaż we śnie mama rozmawia ze mną, jak bym wszystko rozumiała.

KAROLINA.

Nasza matka?

TERENIA.

Tak.

KAROLINA.

Dziś ci się śniła?

TERENIA.

Tak. Powiedziała, że wczoraj zgrzeszyłam, ale, że to rzecz ludzka, konieczna czasem; że dusza walczyć musi z pokusami ziemskimi, a otrząsając z swych skrzydeł grzech mimowolnie spełniony, mężnieje, nabiera siły, poznania, jasnowiedzenia.

KAROLINA.

I to nasza matka ci mówiła?

TERENIA.

Tak.

KAROLINA (n. str.).

W głowie mi się miesza. (Głośno). Jesteś bardzo błada.

TERENIA.

Bo mnie sen zmęczył. Cierpiałam...

KAROLINA.

Cierpiałas?

TERENIA.

Tak. — Nie za siebie.

KAROLINA.

Za kogo?

TERENIA.

Za wielu.

KAROLINA.

I za mnie?

TERENIA.

Tak.

KAROLINA.

Powiedz z jakiego powodu? (Terenia daje znak, że nie może). Proszę cię, powiedz!

TERENIA.

Nie mogę. Gdybym wyjawiała prawdę, jużbym więcej nie śniła. (Grzmot oddalony).

KAROLINA.

Na cóż masz śnić, jeśli cierpisz we śnie?

TERENIA.

Tak trzeba.

KAROLINA.

Dla czego?

TERENIA.

Bo muszę cierpieć za winy drugich.

KAROLINA.

Przerażasz mnie, — bo jednak mówisz...

TERENIA.

To tylko co mi wolno.

KAROLINA.

Gdybyś zatem opowiedziała to czego nie wolno ci wyjawić?...

TERENIA.

Sny by się rozwiały na zawsze, jak z brzaskiem dnia cienie nocy. (Z boleścią). Nie widywałamby więcej mamy, straciłabym pojęcie o wielu rzeczach świętych i tajemniczych, nie wiedziałabym co przyszłość moim najbliższym przeczyna: szczęście, czy niedolę.

KAROLINA.

Czy wiesz, jaki mnie los spotka?

TERENIA.

Wiem.

KAROLINA.

Ale nie powiesz?

TERENIA.

Nie mogę.

KAROLINA.

Strasznem wydaje mi się to, czego z słów twoich się domyślam, a co przedemną zataić pragniesz.

TERENIA.

Och! czemuż wyjawić mi nie wolno. Nie miała-  
byś powodu do obawy.

KAROLINA.

Jednak nie wiem, czy nie straszniejsza przyszłość  
cię czeka, jeśli...

TERENIA (drżąc).

Nie mów, proszę.

KAROLINA.

Muszę.

TERENIA.

Lękam się...

KAROLINA (n. str.).

Biedne dziecko!... Jak mimoza przed dotknię-  
ciem kurczy swoje listki, tak ona wszystkie siły du-  
cha skupia i wytyęża, aby nie słyszeć, nie rozumieć...

TERENIA (marząc).

Sprzeczne jakieś myśli po głowie mi się płaczą:  
pół ziemskie, pół sennie. Prawie śpię... a jednak czu-  
wam. To stan przykry. Nie mów, siostró!

KAROLINA.

Muszę, bo tu idzie o twoje szczęście, o twoją  
przyszłość, o honor rodziny...

TERENIA.

Boże, mój Boże... tak jestem zmęczoną...

KAROLINA.

Błagam cię o chwilę cierpliwości. (Prowadzi Terenię  
do kanapy). Siądź tutaj — ja przy tobie. (Siadają). Drżysz...  
obawiasz się... nie ufasz mi... i słusznie. Byłam dla  
ciebie dotąd niedobrą i złośliwą...

TERENIA.

Tylko na jawie. W snach moich jesteś dobrą.

W snach wszyscy dobrzy. Złych nie ma. Są tylko smutni i nieszczęśliwi. Tyś nieszczęśliwa...

KAROLINA (z łkaniem).

O bardzo! (Chwila milczenia, w ciągu której słychać płacz Karli. — Terenia obejmuje ją i całuje).

TERENIA.

Uspokój się, nie płacz. Smutek twój podzielam...

KAROLINA (ocierając oczy).

I przebaczasz?

TERENIA.

Nie mam ci co przebaczyć — Bóg jeden przebaczać może. Względem mnie nie zawiniłaś niczem. (Karolina płacze po cichu. — Chwila milczenia). Mama mi mówiła, że mężczyźni część przewinień własnych zrzucają na kobietę, ale w obec sprawiedliwości wyższej — tam w błękitach — sami za nie odpowiadają. (Chwila milczenia. — Terenia przygląda się zamyślanej hrabinie). O czym myślisz?... W załzawionych oczach twoich migają błyskawice gniewu. Czy ty się może na mnie gniewasz, że nieostrożnem słowem dotknęłam świeżej rany?

KAROLINA.

Nie, nie, dziecko drogie... ale czas leci, oni tam targu dobić gotowi... chcę mówić o rzeczy ważnej, od której cały twój los zawisł, a ty przeszkadzasz, nie dajesz mi przyjść do słowa.

TERENIA.

Już słucham — już się nie boję. Głos twój mnie uspokoił.

KAROLINA (po chwilowej walce wewnętrznej).

Czy ty go kochasz?

TERENIA.

Kogo?

KAROLINA.

Tego, którego ci na męża przeznaczają — księcia.

TERENIA.

Nie.

KAROLINA (z radością).

Nie?!

TERENIA.

Lubiłam go wczoraj, bo ma w oczach jakiś czar przyciągający; bo powiedziano mi, że walczył w powstaniu, że za Polskę krew przelewał, a miłość ojczyzny tam... wiesz... w błękitach, to jeden z najjaśniejszych promieni, po którym duchy mamy i ojca do mnie spływają. Przytem głos księcia, ile razy przemówił, brzmiał tak łagodnie, tak ucho pieścił!.. chociaż namawiał do złego. Ulegałam mu mimowolnie... lecz dusza opierała się jego przemocy. A już po śnie dzisiejszym... przez ciebie i za ciebie... (z wybuchem nerwowym)... och! nie lubię go, nie lubię, nie lubię! (Pochyla twarz i dłońmi ją zakrywa).

KAROLINA (obejmuje ją za szyję i całuje).

Dziecko ukochane! (Odkrywa jej twarzyczkę). Rumienisz się... Czemu?

TERENIA

Nie wiem. (Kryje czoło na piersiach Karli. — Chwila milczenia. — Terenia podnosi głowę i ukradkiem patrzy w oczy siostrze. — Z drżeniem w głosie). Czy ty się na mnie nie gniewasz?

KAROLINA (z wybuchem, całując ręce Tereni, które ona usuwa).

Ja? ja?!... ależ ja cię teraz kocham jak matka, jak lwica, której wydarte lwiątko odniesiono do gniazda.

TERENIA.

Mnie tak potrzeba miłości!... Ubóstwiam moich, z którymi w snach się widuję; nie zawsze, nie co noc, bo różne sny bywają: ludzkie i anielskie. Kocham babcię, was obie... ciebie więcej od Madzi... chociaż



bałam się niedawno jeszcze. Bardzo, bardzo lubię Petronellę... i jeszcze kogoś. Ale on, niestety, nie ufa mi, nie wierzy. Marzył dziś o samobójstwie, a mnie, co to odczułam, mało serce nie pękło z bólu i trwogi.

KAROLINA.

Kto on, kto?

TERENIA (przyciskając czoło do jej piersi).

Niedobry!... Powiem ci potem. (Powstaje). Ale chodźmy do babuni. Jeszcze jej dziś nie widziałam, nie ucałowałam rączek na dzień dobry. (Pociąga Karłę ku drzwiom).

KAROLINA.

Zaczekaj! Teraz wszystko co ciebie obchodzi i mnie obchodzi gorąco. Powiedz...

TERENIA.

Nie, nie... jeszcze nie teraz. (Prawie wesoło i grożąc palcem). Nie nalegaj... bądź grzeczna! Powiem później. (Słychać grzmot nieco bliższy). Chodźmy, chodźmy do babuni.

KAROLINA.

Zastaniemy przy niej księcia.

TERENIA (robi gest koło czoła, jakby sobie coś przypominała).

O! nie lubię go! (Zatrzymuje Karolinę w pośrodku pokoju, nagłym ruchem bierze jej głowę w dłonie i całuje w czoło). Ale i ty go nie lubisz teraz?... prawda, że nie lubisz?... Powiedz szczerze.

KAROLINA (po chwilowej walce).

Nie lubię.

TERENIA.

I wiecznie już nie lubić będziesz?

KAROLINA (j. w.).

Wiecznie.

TERENIA.

O! jak ja cię kocham! (Całuje ją).

KAROLINA (zamyślona).

Owładnęłaś moją duszą. Nikt dotąd nie miał nademną podobnego wpływu!

TERENIA.

Chodźmy! (W drzwiach ogrodowych ukazuje się Petronella, za nią Grześ z torbą skórzaną przez ramię).

SCENA 9.

TERENIA, KAROLINA, PETRONELLA, GRZEŚ.

PETRONELLA (kłania się Karolinie).

Sługa pani hrabiny. (Do Tereni). Sarenka moja wstała nareszcie. Błada jesteś lalczko. (Schyla się, żeby pocałować jej rękę).

TERENIA (zwykłym ruchem wysuwając ręce).

Petronelko! któż widział po rękach całować!... Wstydę się za ciebie...

PETRONELLA.

Wstydź się, wstydź; bylebym ja się nie wstydziła. (Do Karoliny). Pani hrabina wie, jak mocno przywiązana jestem do naszej małej sierotki.

KAROLINA (przyciskając do siebie Terenię).

I nie dziwię się temu.

PETRONELLA (n. str.).

Oho!

TERENIA (do Petronelli).

Żebyś wiedziała, jaka ja zmęczona!... Oczy mi się kleją...

PETRONELLA.

A ja!... ledwie na nogach się trzymam. Upał siarczysty... zajęcia co nie miara...

TERENIA.

Pomogę ci, Petronelko, jak wrócę z ogrodu.

PETRONELLA.

Jeszcze czego! żebyś ty się fategyowała!... Idźno, idź — i wszystkich tu sprowadź, bo burzy tylko co nie widać. Chmurzyska zaczerniły niebo od zachodu; ciągle pogrzmiwa...

TERENIA.

Ledwie stoję. Niby czuвам, a jednak ciągle mi się zdaje, że śpię jeszcze... Chodźmy. (Przesyła ręką od ust pożeganie Petronelli, bierze Karolinę w pól i razem wychodzą).

PETRONELLA (patrząc za Terenią).

Moje dzieciátko!... Nie ty czuwasz, ale Bóg i ja nad tobą czuwamy! (Do Grzesia). Pokaż-no coś przywiózł z poczty. (Grześ wyjmuje z torby dzienniki i list. — Petronella odbiera). Pięć gazet i list. Nic więcej?

GRZEŚ.

Nic.

PETRONELLA.

Idź do kredensu.

GRZEŚ.

Panicz razem ze mną przyjechał.

PETRONELLA.

Co za panicz?

GRZEŚ.

Ano, pan Ludwik — Poszedł się przeodziać do kancelaryi.

PETRONELLA.

Patrzcie go! jaki konfident!... panicz! To pan całą gębą... rozumiesz, jak prawdę kocham. Ruszaj do kredensu. (Grześ wychodzi. — Petronella przygląda się adresowi na kopercie). Do szambelana... (Kładzie gazety i list na fortepianie). Należałoby dzienniki przeczytać, bo może

znajdę co nowego, chociaż czuję, że w głowie nie lepszy porządek niż z rana. (Spostrzega wchodzących: szambelana, hrabiego i rejenta; cofa się nieco w głąb za fortepian).

SCENA 10.

PETRONELLA, SZAMBELAN, REJENT, HRABIA.

HRABIA.

Duszno! Powietrze przepelnione elektrycznością.

SZAMBELAN.

Gorąco, gorąco!... Przytem zdaje mi się, że jestem wściekły, a człowiek tej co ja kompleksy, powinien być zawsze w dobrym, równym humorze. Nic bardziej nie szkodzi nad gniew z rana.

REJENT.

Panowie widzą sami, że nie ja, lecz księżę psuje ich interesa, porozumiewając się wprost z kasztelanową. (Idzie do okna i patrzy w niebo).

HRABIA.

Może się jeszcze nie porozumieli?

SZAMBELAN (chodzi szybko po pokoju).

Zdradza nas — formalnie nas zdradza.

HRABIA.

Nie unośmy się zbytęcznie...

SZAMBELAN (niecierpliwie).

Nie unoszę się, nie chcę się unosić... Zresztą mam na panicza wędzidło: lepszą partyę.

HRABIA.

E! co po tem, jeśli układ z kasztelanową nie dojdzie do skutku!

SZAMBELAN (mrugając na hrabiego i pokazując mu na migi, że rejent słucha).

Co do mnie, wolę go ożenić gdzieindziej.

HRABIA (który migów szambelana nie zrozumiał).

Ależ kasztelanowa...

SZAMBELAN (przerywając).

Księcia mieć nie będzie.

HRABIA (prawie z rozpaczą).

A my osiądziemy na lodzie!

SZAMBELAN.

Czy ja winien, że babcia rozstrojona — tak, rozstrojona — nie ocenia należyście naszych starań i zabiegów. Udawała cały wieczór, że orderów moich nie widzi. Nie zwróciła uwagi na opowiadanie o balu w Tujlerach... (Zatrzymuje się w środku pokoju).

PETRONELLA (która czychała na tę chwilę, zbliża się z ukłonem pełnym gracy i podaje list szambelanowi).

List z poczty do pana szambelana.

SZAMBELAN (odbiera).

Dziękuję. — Aaa!... wczorajsza zastępczyni królowej Izabelli, wspaniałej monarchini hiszpańskiej... Pani tańczy wybornie — (przykłada palce do ust i cmoka) wyśmienicie!

PETRONELLA (skromnie spuszcżając oczy w ziemię).

Jak prawdę kocham, nie chwalać się, lekkości nie straciłam dotąd.

SZAMBELAN.

W istocie, w istocie; przy obrotach poddajesz się łatwo. Kręcić można panną, jak piórkim, pomimo wcale poważnej cyrkumferencji. Ale to nic nie szkodzi, bo i królowa także... (Uśmiecha się i robi gest. — Petronella dyga). Jakże się spało po walczyku?

PETRONELLA (z ciężkiem westchnieniem).

Nie dobrze!

SZAMBELAN.

Rozumiem. Panna Petronella wolałaby pewno poloneza, albo może mazura. Co? (Nuci). Romtatata, romtatata, romtatata! (Uderza hołupca i przytupuje na miejscu). Ja i to umiem... po warszawsku, ognście!

HRABIA (zniecierpliwiony).

Czas ubiega napróżno!

SZAMBELAN.

Przepraszam, przepraszam. Pozwól, tylko list przeczytam. (Do Petronelli z uśmiechem zadowolenia i bardzo uprzejmie). Przepraszam, królowo, ale przede wszystkim interesa. (Czyta list).

PETRONELLA.

Sługa pana szambelana... i pana hrabiego... i pana rejenta. (Kłania się wszystkim z kolei, zabiera gazety z fortepianu i mówi na stronie). Jak prawdę kocham, miły człowiek! (Wychodzi).

REJENT (u. str. zadumany).

Przeszkoda moralna!... Ale jaka, jaka?!! (Przesuwa ręką po czole).

SZAMBELAN (po przeczytaniu listu).

Panie rejencie, Auguście, proszę... proszę bliżej. Chcę coś ciekawego zakomunikować. (Rejent i hrabia zbliżają się). Mówiłem, że mam dla księcia partycję lepszą od Tereni — a oto dowód. (Potrząsa listem). Na złość babci rozstrojonej — tak, rozstrojonej — zdmuchnę jej konkurenta. Raz, dwa, trzy... paf! i nie ma księcia.

HRABIA (niezadowolony).

Tu trzeba działać roztropnie, oględnie, ty zaś...

SZAMBELAN (przerywa).

Ty zaś, nie masz krwi w żyłach.

HRABIA (smutnie, prawie jakby do siebie).

Mam rumieniec na czole, który zetrzeć pragnę.

SZAMBELAN.

Słuchajcie panowie! W sąsiedztwie mojem na Podolu, mieszka niejaka Rosprzycka. Cudak baba, jakich mało, ale ma olbrzymi majątek w ziemi i kapi-  
tałach, zebrany przez nieboszczyka męża lichwą i po-  
kątnem doradztwem, a przez nią samą powiększany  
ciągle. Otóż ta zacna dama posiada córkę jedynaczkę  
i pragnie dla niej mitry książęcej. Dawno już mole-  
stowała mnie, abym przywiózł z sobą Zdzisława. Dziś  
pisze kategorycznie, że da zaraz dwa miliony; po jej  
zaś najdłuższem życiu zieć zagarnie drugie tyle. (Po-  
kazuje list). List szedł przez Warszawę, zkaż mi go  
przysła rządca mego domu. — Pyszny typ, panie  
rejencie, pyszny typ!

REJENT.

Rządca pana szambelana?

SZAMBELAN.

Nie... Rosprzycka!

REJENT.

Czy dla tego, że daje za córką dwa miliony?

SZAMBELAN.

Ależ nie; to się jej tylko chwali. (Śmieje się). Gdy-  
byś ją zobaczył, nie dziwiłbyś się mojemu określeniu.  
Istna klucznicza udająca hrabinę. Brzydka, jak wszyst-  
kie trzy czarownice Makbeta. Głupia... no! dość po-  
wiedzieć, że mówi po francusku jak murzyn. Lubi po-  
pisywać się magnackiem urządzeniem pałacu, przepy-  
chem w powozach, zaprzęgach, liberyach, a pomimo  
to w ciszy nocnej, w swojej adamaszkim jedwabnym  
obitej sypialni, chowa oszczędzone miedziaki do tra-  
dycyjnej pończochy, chociaż ma kasę ogniotrwałą,  
a w niej stosy listów zastawnych.

HRABIA (niecierpliwie).

Wróćmy do rzeczy.

SZAMBELAN.

Nie wychodziliśmy z niej wcale. — W majątku swoim spełnia po dziś dzień obowiązki: rządcy, ekonoma, leśniczego, pisarza prowentowego, etc. etc.

HRABIA (j. w.).

Co nas to w tej chwili obchodzić może?

SZAMBELAN.

Proszę uważać. — Kiedyś, pewnego wieczora, koszone trawę na lewadzie w dębowym gaiku, graniczącym z jej wspaniałym parkiem. Lewadą na Podolu nazywa się łąka w pośród lasu.

REJENT.

Dziękuję za objaśnienie.

SZAMBELAN.

Ażeby się przekonać, czy stóg z sianem ustawiono i ubito jak należy, wlaźła Rosprzycka po drabinie na sam szczyt... (Bliższy odgłos grzmotu).

HRABIA.

Opowiadasz zaściankowe plotki, a czas uchodzi.

SZAMBELAN (machą ręką i opowiada dalej).

Wtem w czterokonnym odkrytym koczku nadjeżdża hrabia Galwitz, sąsiad, wdowiec, ex-jenerał, starający się o rękę córunki. Było już szarawo, słońce skryło się za drzewa, ale kandydat na zięcia poznałby przyszlą świekrę i na piramidzie egipskiej. Uderzony niezwykłym widokiem, pyta z powozu: »Czy jasna pani i jasna panienka są w pałacu?« — »Nie« — odpowiada rezolutna baba — »wyjechały do Kamieńca«. Galwitz wziął to za rekuzę, kazał konie zawrócić... i nie pokazał się więcej. Po tem niepowodzeniu z kurlandzkim grafem, Rosprzycka zwróciła



się w naszą stronę i dobija się formalnie o Zdzisława. Dotąd wymawiałem się od pośrednictwa, ale rozważywszy rzecz gruntownie widzę, że dobrze będzie jeśli majątek duży dostanie się w polskie ręce.

REJENT.

W imię owego cichego patriotyzmu, którego pan szambelan jest wyznawcą skrytym.

SZAMBELAN.

Ma się rozumieć!... Przytem mieć będę miłego i dystygowanego sąsiada. Tak, tak — nie oddam umitrowanego panicza za marne pieniądze, z prawa mi należne, a o które muszę się jeszcze targować.

REJENT.

Z tego punktu widzenia wychodząc, księżę byłby tylko towarem.

SZAMBELAN.

A czyja wina, że go tak traktować wypada?

REJENT.

No, chyba nie moja...

SZAMBELAN.

To też nie do pana rejenta zwracam ostrze mego satyrycznego grotu.

HRABIA (bardzo niespokojny).

Tu nie żartować, ale działać potrzeba! Rejent raczy pomówić z kasztelanową; my we dwóch postaramy się porozumieć ze Zdzisławem...

SZAMBELAN.

Ho, ho, ho!... i Zdzisławek miły chłopiec! Czuł go dotąd powstańcem o miłą. A przytem salonowe sukcesy miłosne przewróciły mu w głowie; zapomina o siwiejących nad skroniami włosach... Ta go kochała, tamta jeszcze kocha, inna kochać będzie. Cóż

8\*

on sobie myśli, że przymioty jednąjące mu serca kobiece nigdy się nie wyczerpią?

REJENT.

Róża, wachana przez wielu, nie traci zapachu; woda ze źródłu gasi pragnienie tysięcy...

SZAMBELAN.

Ale stary kawaler co najwyżej zgasić może świecę, albo ogień na kominku.

REJENT.

Dziękuję za nominację na pokojowego naczelnika straży pożarnej.

SZAMBELAN (śmieje się).

Prawda, że i pan... No, rejencie, ty należysz do innego pokolenia.— Słowem, po dwudniowych pertraktacjach, w ciągu których wykazałem jak najbardziej pojednawcze usposobienie, jasno i ostatecznie formułuję moje ultimatum. Albo babcia zgodzi się wypłacić sumę przezemnie żadaną, albo zabieram z sobą Zdzisława na Podole i żenię z panną Rosprzycką.

REJENT.

Pan szambelan zapomina, że księżę pełnoletni.

HRABIA.

A od czasu jak tu przybył daje ciągle dowody, że pragnie mieć własną wolę...

SZAMBELAN.

Bo czerwony!

REJENT.

Kolor ten — kasztelanowej nie odstraszy.

SZAMBELAN.

Powiedziałem już wszystko. (Odprowadza hrabiego na bok i mówi mu na ucho). A bodaj-że cię! Ja rejenta, jako pełnomocnika babci przypieram do muru, a ty wciąż

mi przeszkadzasz. Nigdy do niczego nie dojdiesz, bo nie dyplomatużesz. W interesach radzić sobie nie umiesz, pomimo, że na politycznej drodze okazałeś dużo sprytu przy zmianie frontu...

HRABIA (smutnie i z pewnym odcieniem godności).

Nie kończ. Gdyby nie ta zmiana, nie widziałbyś mnie przy sobie. (Zbliża się do rejenta). Panie rejencie, mówiłem dotąd mało, bo nie mogę mówić szczerze... bo niestety nie mam do tego prawa. Pragnę uciec z kraju, ale naprzód muszę zabezpieczyć przyszłość mojej żony. Należy ona tu... do rodziny. Gdybym był sam, o nic bym nie prosił... (Grzmot. — Pierwsza błyskawica).

REJENT.

Rozumiem. Przedstawiając sprawę kasztelanowej, położę nacisk na wyznanie pana hrabiego.

SZAMBELAN (n. str.).

Oni w atmosferze tego starego dworu wszyscy powaryowali!

SCENA II.

CIŻ SAMI. LUDWIK.

LUDWIK (wchodzi szybko i zbliża się do rejenta).

Wuju, całe niebo chmurami pokryte. Wicher się zerwał; już łamie gałęzie drzew. (Po cichu). Ja tam pójść nie chcę... nie mogę. Należałoby je wezwać — burza zapowiada się groźnie...

REJENT.

Dobrze — idę. (Spiesz ku drzwiom ogrodowym). Nie ma potrzeby; już wszyscy do domu wracają. Przodem biegnie pani szambelanowa, a za nią podąża hrabina. Panią kasztelanową prowadzą książę i Terenia.

SCENA 12.

CIŻ SAMI. MATYLDA, KAROLINA, KSIĄŻĘ, KASZTELANOWA, TERENIA,  
później MACIEJ i JÓZEF.

MATYLDA (wbiegając).

Co się dzieje! co się dzieje!... Grzmoty, wiatr, błyskawice... Och! jak ja się boję!... (Spostrzega okno otwarte). Okno otwarte!... Proszę zamknąć, proszę zaraz zamknąć! (Ludwik zamyka i cofa się w głąb pokoju). Dziękuję — bardzo dziękuję.

KAROLINA (wchodzi i mówi do rejenta z rozdrażnieniem nerwowem, nad którym zapanować pragnie).

Tak dawno nie widziałam burzy zbliżającej. Byłabym chętnie pozostała w ogrodzie, ale babcia, Madzia i Terenia nalegały, abym koniecznie udała się do domu. Chronię się więc pod rodzinną strzechę na powszechne żądanie. (Po cichu). Na groźniejszą tu zanoszą się burzę, bo wnoszą ze słów babuni i księcia, że zbliża się tragi-komiczny moment. Konkurent albo się już oświadczył, albo się wkrótce oświadczy. Jeśli Terenia stanowczo nie odmówi, ja wystąpię z moją przeszkodą moralną.

REJENT.

Czy pani hrabina wierzy w skuteczność środka, którego użyć pragnie?

KAROLINA.

Mniemam, że sama się zgubię, ale ją ocaleję. (Książę i Terenia wchodzi, wiodąc pod rękę kasztelanową. — Kasztelanowa odprowadzona do swego fotelu siada, dziękując Tereni i księciu uściśnieniem ręki. — Błyskawica oświeca głąb sceny).

MATYLDA.

Drzwi! drzwi od ogrodu pootwierane!... Proszę je szczelnie pozamykać, bo umrę ze strachu! (Hrabia i Ludwik zamykają drzwi w głąbi).

SZAMBELAN.

Dajże pokój, nie rób scen.

MATYLDA.

Łatwo tobie się nie bać, bo jesteś mężczyzną, ale ja, słaba kobieta!... Zresztą i ty pobladłeś.

SZAMBELAN.

Pobladłem?... zkaąd-że?!... Złudzenie optyczne. Ściemniło się, więc wszyscy wydajemy się bledsi.

MATYLDA.

Czuję, że zanosi się na coś straszego. (Odgłos piorunu i błyskawica). A co, czy nie mówiłam. Boże, co ja z sobą pocznę! (Coraz częściej blask błyskawic rozdziera zupełną ciemność ogrodu za oszklonemi drzwiami i za oknem). Patrzyć na tę okropną iluminację nie mogę, nie mogę, nie mogę! (Mówiąc poprzednie wyrazy siada na jednym z krzeseł po lewej stronie sceny i zasłania oczy chusteczką. — Po każdym grzmocie febryczne drżenie porusza jej ciałem, a z ust wyrwywają się ciche jęki: »oj! oj!«).

HRABIA.

Ściemniło się zupełnie. Możeby kazać podać światło?

KASZTELANOWA (sięgając ręką po dzwonek).

Niezawodnie...

HRABIA.

Niech się pani nie fatyguje. Pójdę powiedzieć... (Wychodzi na lewo).

KASZTELANOWA.

Dziękuję. (Zwraca się do rejenta). Panie rejencie, proszę...

REJENT (zbliża się).

Co pani dobrodziejka rozkaże?... Jestem na jej usługi.

KASZTELANOWA (po cichu).

Czy umowa z obu zawarta?

REJENT (po cichu).

Hrabia się zgadza — szambelan nie.

KASZTELANOWA (j. w.).

Tem gorzej dla niego! (Chwila ogólnego milczenia. — Wszyscy rozproszeni po pokoju. — Szambelan oparty o fortepian. — Matylda siedzi. — Księżę przy oknie z oczami wlepionymi w Terenię. — Rejent przed kasztelanową. — Ludwik przy drzwiach w głębi. — Karolina przy Tereni, ale nie mówią z sobą. — Hrabia wraca. — Za nim Maciej i Józef wnoszą świeczniki z zapalonymi świecami, ustawiają je i wychodzą).

REJENT (po wyjściu służy nachyla się do kasztelanowej i pyta).

Czy pani kasztelanowa ma jeszcze co do polecenia?

KASZTELANOWA (półgłosem).

W tej chwili nic, ale wieczorem prosić cię będę o spisanie intercyzy... i testamentu.

REJENT.

Dwóch aktów — różnych treścią i celem.

KASZTELANOWA.

Czy całe istnienie nasze nie składa się z podobnych różnic? (Grzmot). Ot i teraz przyroda swemi niewczesnemi dąsami sprzecza się z wielką radością, przepełniającą serce moje. (Rejent kłania się, jakby chciał odejść; kasztelanowa wyciąga do niego rękę, którą on z uszanowaniem całuje). Pozostań z nami, stary przyjacielu, nie odchodź. Zaraz wszystkim oznajmię, z czego się tak mocno cieszę. (Rejent kłania się i staje przy Karolinie).

HRABIA (w głębi).

Ani jedna kropla deszczu jeszcze nie spadła.

KASZTELANOWA.

Spadnie wkrótce... i niebo się wypogodzi... i słońce znowu zajaśnieje. Podobne burze sprawiają czasem wielkie spustoszenia w polu i w lesie, nie trwają jednak długo. Niech panowie raczą usiąść. Karlo, Tereniu... mości księżę... chciejcie pójść za przykładem Matyldy. (Wszyscy siadają.)

MATYLDA.

Bo ja babciu ledwie żyję. (Drżąc febrycznie.) O jak ja się boję!

KASZTELANOWA.

Może wybieram niestosowną chwilę do podzielenia się z państwem miłą dla mnie wiadomością, ale tak rzadko gromadzimy się wszyscy razem w jednym miejscu, bez asystencyi sług i domowników, że niemal wdzięczną jestem burzy, iż nas tu zebrała.

SZAMBELAN.

Kółko rodzinne w komplecie.

KASZTELANOWA.

I dwóch przyjaciół, którym słusznie należy się miejsce między nami.

KSIĄŻĘ (n. str.).

Chwila stanowcza się zbliża... Całą siłę sugesty skupiam w moich oczach.

KASZTELANOWA.

Przed godziną...

TERENIA (do Karoliny).

Senność mnie ogarnia... Oczy mi się kleją. (Karolina patrzy na nią ze zdziwieniem; wyciąga ręce, aby ją objąć, ale Terenia wysuwa się z nich ruchem automatycznym.)

KASZTELANOWA. (głosem surowego napomnienia.)

Tereniu!... babka mówi.

TERENIA (powstaje).

Przepraszam. (Postępuje parę kroków w stronę księcia, potem zatacza się i prawie bezwładnie siada na krześle stojącym w środku pokoju.) Słucham babciu... słucham.

SZAMBELAN.

Grzmoty i pioruny wprawdzie ogłuszają, ale słuchamy. O! słuchamy uważnie.

KASZTELANOWA.

Przed godziną ksiązę oświadczył się o rękę mojej Tereni.

SZAMBELAN (wskazując na siebie i na hrabiego).

Dzięki naszym staraniom przezacna babuniu, dzięki naszym staraniom.

KASZTELANOWA (mówi jakby szambelana nie słyszała).

Przyznaję szczerze, że prośbę księcia powitałam życzliwie — bardzo życzliwie. Może nawet oczekiwałam na nią z upragnieniem. Oświadczam więc tu, w tem gronie, złożonym z członków rodziny i przyjaciół wiernych, że błogosławię z radością przyszłemu związkowi, bo pewną jestem, że Terenia całym sercem sprzyja temu, którego jej na dozgonnego towarzysza wybrałam, powierzając z ufnością jego dłoniom przyszłość mojej ukochanej wnuczki.

Ogólne poruszenie. — Wszyscy powstają z miejsc prócz Matyldy i Tereni.

KSIĄŻĘ.

Pozwoli pani, że o uczucia panny Teresy dla mnie, ja samą ośmielę się zapytać.

KAROLINA (n. str.).

Wzrokiem ją przeszywa... Ona się mieni...

KSIĄŻĘ (idzie do Tereni).

Panno Tereso, chciej odpowiedzieć łaskawie i szczerze, czy masz choć trochę przychylności dla człowieka, który zaledwie cię ujrzał uczuł się oczarowany urokiem niewinności, jaki w około siebie roztaaczasz, wdziękiem twej powierzchowności, przymiotami duszy bez skazy...

TERENIA (powstaje z pewnem wysileniem. — Krzyk bóleści wrywa się z jej piersi.)

Babciu droga! (Biegnie do Kasztelanowej, jakby chciała rzucić się w jej objęcia.) Broń... ratuj!



KASZTELANOWA (na krzyk powstała i obejmuje ją ramieniem).

Dziecko moje, co tobie?!

LUDWIK.

A! (wysuwa się z głębi naprzód, ale w kilka minut potem z gestem rozpaczony cofa się i opiera czoło na szybach drzwi ogrodowych).

KSIĄŻĘ (wzruszony).

Co to jest? co się stało?... powiedz, powiedz panno Tereso!

TERENIA (nieprzytomnie).

Zawrót głowy... (n. str.). Wzrok jego przyciąga, dźwięk głosu myśli miesza — ale nie ulegnę, nie!

KSIĄŻĘ (bardzo szczerze).

Życie całe poświęcę twemu szczęściu. Babka pani umiała ocenić szczerłość moich zamiarów. Kocham cię dla ciebie tylko... dla ciebie samej.

TERENIA (j. w. — Wysuwając się z ramion kasztelanowej i odwracając oczy od księcia).

Walczę ze snem. Oprzeć się nie mogę... nie mogę. (Idzie do Karoliny.) Siostrze, powiedz, że ja...

KAROLINA (z wybuchem).

Dla ocalenia ciebie powiem wszystko!

KSIĄŻĘ (n. str. cofając się).

Jestem zgubiony.

KAROLINA.

Słuchajcie... słuchajcie!... Księżę, który w tak gorących wyrazach wyznał tu w obec nas miłość swoją dla Tereni...

TERENIA (która ze zdumieniem patrzyła się w oczy Karli, rzuca się i ręką zatyka jej usta).

Nie... nie to... nie to, co teraz myślisz!... Proszę cię... (całuje jej rękę)... tego nie mów... tego nie... za nic w świecie!

KAROLINA (łkając).

Uspokój się... uspokój! Już milczę, kiedy nie  
każesz.

TERENIA.

Powiedz, wytłómacz, żem znużona, osłabiona, że  
sił mi braknie do walki... że powieki ciężą jak ołów,  
bo dusza wyrywa się tam — do mamy — która mnie  
broni, błękitnym płaszczem osłania... (Zwraca się do Ka-  
sztelanowej). Babciu!... mówić nie mogę. (Szuka błędnym  
wzrokiem księcia, który się cofnął). Panie... (poprawia się) mości  
księżę... żoną twoją nie będę...

KAROLINA (n. str. z wybuchem radości).

Przymusem jej nie pokonał!

LUDWIK (z radością).

O! (Znowu się przybliżył.)

KASZTELANOWA.

Odrzucasz go?!... tego, którego ja ci wybra-  
łam! — Słuchaj Tereniu, duszę jego szlachetną i ry-  
cerską starem mojem doświadczeniem do dna przejrza-  
łam. Czysta jak łza, jak kryształ. On prawym Pola-  
kiem... kocha cię, godzien twojej ręki...

TERENIA (z wysileniem).

Odrzucam.

KASZTELANOWA.

Dla czego nieszczęśliwa?

TERENIA (walczy z sennością, cofa się w tył parę kroków, bierze za  
rękę Ludwika i pociąga go naprzód.)

Bo jeśli mam mieć męża, to ten tylko nim będzie.

KASZTELANOWA.

Nigdy!

TERENIA.

On... albo nikt. (Upada na krzesło, stojące pośrodku. —  
Ludwik w uniesieniu radosnem chwytą jej rękę już prawie bezwładną,  
i składa na niej pocałunek. — Terenia machinalnie, zwykłym sobie ru-  
chem, pełnym skromności, cofa rękę.)

MATYLDA (która powstała i przysłuchiwała się z zajęciem .

Awantura!... mała kocha pana Ludwika.

KASZTELANOWA (stoi chwilę nieruchoma, jakby piorunem rażona. — Nagle wybucha).

Ha! utrzymujesz, że on albo nikt... otóż nigdy, nigdy, nigdy on! (Zwraca się do rejenta) Pan wiedziałeś dawno na co się zanosi, a nie uprzedziłeś mnie; za- ledwie z daleka, ostrożnie, podstępnie dotknąłeś wczora- j drażliwego przedmiotu. Ja nie rozumiałam... dziś rozumiem. (Z wielką goryczą) Dziękuję... dziękuję.

REJENT (mocno wzruszony).

Pani kasztelanowo...

KASZTELANOWA (odwraca się od niego ze wstrętem i mówi do Tereni).

A czy wiesz niedobre dziecko kogo wybierasz?

REJENT (chwytając ją gwałtownie za rękę).

Nie mów pani! Na miłość Boską, nie mów!

KASZTELANOWA.

Powiem, żeby wykopać między nimi przepaść na wieki.

REJENT.

Błagam!... zaklinam!

KASZTELANOWA.

Takie prośby mnie nie wzruszą.

REJENT.

A więc... przez męczarnie, jakie znoszę... za- braniam.

KASZTELANOWA.

Kto zabraniać się ośmiela, kiedy obowiązek na- kazuje!

REJENT.

Sumienie.

KASZTELANOWA (zastanawia się).

Sumienie?!... dla czego?

REJENT.

Uśłuchaj pani rozkazu sumienia, bo nie wiesz...  
nie jesteś pewną...

KASZTELANOWA (j. w.).

Sumienie właśnie domaga się prawdy.

TERENIA.

Och! jak cierpię!

KASZTELANOWA.

Cierpisz?!... a ja czyż nie cierpię więcej...  
przez ciebie... i za sprawą fałszywych przyjaciół, któ-  
rych udawaną życzliwość poznaje się dopiero w tak  
okropnych chwilach. Słuchaj! ten któremu oddałaś  
serce... i rękę oddać pragniesz, jest twoim...

REJENT (wybucho).

Milcz!... milcz pani... bo skłamięsz!

Rozlega się odgłos grzmotu silniejszego od wszystkich poprze-  
dnic. — Kasztelanowa przerażona i zdziwiona słowami rejenta cofa  
się ku proscenium. — Rękę przesuwając po czole i upada na swój fotel. —  
Dość długie ogólne milczenie. — Karolina przechodzi od usypiającej  
Tereni, którą pocałowała w czoło, do babki, przy której przykłęka  
i całuje ją w rękę.

KASZTELANOWA (złamana bólem, głosem drżącym i bardzo smutnym).

Panie rejencie przebrałeś miarę... za daleko się  
posunąłeś... a nikt z obecnych... (z nerwowym wybuchem)  
bo wszyscy mi obcy, bo ich nienawidzę, bo nimi po-  
gardzam... (uspokajając się — smutnie)... nikt nie ujął się  
za kobietą starą, stojącą nad grobem, bardzo nieszczę-  
śliwą. Nawet to dziecko, to ukochane dziecko...

TERENIA (głosem sennym, pełnym bóleści).

Babuniu!... nie mów... nie mów... bo skłamięsz!

KAROLINA (powstaje i biegnie do Tereni).

Och!

KASZTELANOWA (wstrząsa się).

I ona... ona... jak biczem smaga mnie tym ohy-  
dnym wyrazem... o!

REJENT (płacząc rzuca się na kolana przed kasztelanową i chwytając ją za ręce).

Przebacz, przebacz mi pani... Obrazić nie chciałem... broniłem tylko najdroższej mi istoty... najświętszego uczucia. Litości pani kasztelanowo, bo i ja jestem bardzo nieszczęśliwy... litości!

KASZTELANOWA (szepcąc).

Usuń się... nie udręczaj. Złamana jestem. Zdaje mi się, że spadłam z wyniosłego, w niebo sięgającego szczytu w przepaść bezdenną. Rozbiłam się w tym upadku... i nic już we mnie nie ma całego, ani głowy ani serca. Same szczątki... same szczątki! (Pogrąża się w dumanie).

KAROLINA (która troskliwie zajmowała się Terenią. — Z krzykiem).

Ratujcie!... Ona mdleje... może umiera. (do hrabiego) Spiesz!... biegnij!... przywołaj pannę Petronellę. (Hrabia wychodzi na lewo).

MATYLDA.

Umiera!... ach! boję się... boję. Nie mogę patrzeć na konających. (Wybiega na lewo.)

KSIĄŻĘ (w osłupieniu).

Cały gmach nadziei runął!

SZAMBELAN (do księcia z przybraną godnością).

Chodź!... tu nie dla ciebie miejsce. (n. str.) Ożenię go z Rosprzycką. (Wyprowadza księcia poddającego mu się bezwiednie).

LUDWIK (który przykląkł dawniej z lewej strony krzesła Tereni i patrzył na nią z uwielbieniem pełnym zachwytu, mówi jakby marzył, ale spokojnie.)

Nie... ona nie umiera... nie! Jak dziecko w kolebce usypia cicho!

Grzmoty ustały. — Słysząc rześisty deszcz padający. — Chwila milczenia.

KAROLINA.

Tereniu przemów do mnie choć słówko... (woła Tereniu!

KASZTELANOWA (jakby przebudzona).

Tereniu!... Kto woła?... A!... moje dziecko ukochane! Przypominam sobie... (Chce powstać). Powstać nie mogę... Karlo! wesprzej!

Karolina i rejent przybiegają i prowadzą ją do krzesła, na którym spoczywa usypiająca Terenia.

TERENIA (szepcem).

Cierpię jeszcze... ale złe się przesila... burza minęła... deszcz pada...

KASZTELANOWA (bierze ją za rękę).

Ręka jej zimna. (Z boleścią). Czy ja ją zabiłam?!... O! Boże! miej litość nademną. (Upada na kolana przed Terenią, pochyla głowę, robi znak krzyża świętego na piersi.) Boże! ulituj się... nie karz... zachowaj ją... ochroń!

TERENIA (j. w.).

Jak mi błogo... miło... Już nie cierpię... Błękity się otwierają... Usypiam, usypiam. (Wyciąga ręce przed siebie). Mamó! mamó! (Pochyla głowę na piersi.)

Zasłona spada.

## AKT IV.

Scena przedstawia piękny ogród o charakterze na wpół staroświeckim na wpół nowoczesnym. Partery kwiatów i bujne zarośla krzewów. Kolumna zakończona wazonem. W głębi dwór z gankiem, do którego wiodą schody kamienne. Nad drzwiami dworu obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Na ganku ławki. Na pierwszym planie *na lewo*, blisko kulis, olbrzymia lipa; pod nią ławka, krzesła ogrodowe i stół, na którym leżą dzienniki i czasopisma. *Na prawo*, także na pierwszym planie, w zagłębieniu, jakie tworzy kłęb z bżów, jaśminów i róż cukrowych — w półksiężyc wycięty — stoi również stół i krzesła ogrodowe. W pewnej odległości, nieco w głębi, pod brzozą — ławka. W bocznych kulisach, na prawo i lewo, wyraźnie zaznaczone na scenie rozpoczynające się szpalery ze strzyżonej grabiny i osiczyny.

### SCENA I.

KSIĄŻĘ (siedzi na lewo na ławce i czyta gazetę), HRABIA (na ławce pod brzozą, także z dziennikiem w ręku), SZAMBELAN i MATYLDĄ (siedzą na prawo pod kłębem), MACIEJ (w parę sekund po podniesieniu zasłony — w ciągu których panuje głębokie milczenie — wychodzi z drzwi dworu na ganku i powoli zstępuje ze schodów. — Wszyscy na niego patrzą. — Kiedy jest już w ogrodzie i zwraca kroki w stronę szpaleru na prawo, hrabia powstaje i zastępuje mu drogę. — Książę także powstał, ale nie ruszył się z miejsca, tylko uważnie przysłuchuje się rozmowie Augusta z Maciejem).

HRABIA.

Cóż tam?

MACIEJ.

Co jaśnie pan rozkaże?

HRABIA (zakłopotany).

Chciałem... dowiedzieć się, gdzie jest panienka...  
pani kasztelanowa... i moja żona?

MACIEJ.

Pewno są w pokojach.

HRABIA.

A panna Petronella?

MACIEJ.

Nie widziałem... Może u jaśnie pani. Czy pójść poprosić?

HRABIA (żywo).

Nie trzeba. (Po chwili). Więc nie wiesz?...

MACIEJ.

O czym, panie hrabio?

HRABIA.

Nic... nic... możesz odejść. (Maciej odchodzi na prawo. — Hrabia siada i bierze znowu gazetę do ręki. — Księżę siada i także pogrąża się w czytaniu).

SZAMBELAN (po cichu do Matyldy. — Cała dalsza rozmowa męża z żoną prowadzi się półgłosem, tak, że hrabia i księżę jej nie słyszą).

Szczwany lis, ten wasz stary sługa, — z niczem się nie wygadał.

MATYLDA.

Bo nie wie o niczem. Pewną jestem, że nie słyszał. Z salonu, w którym się odbyła straszna awantura, do kredensu daleko. Ach! wyjeżdżajmy ztąd, wyjeżdżajmy czempredzej... Ja się tak boję!

SZAMBELAN (panując nad rozdrażnieniem, które jednak ciągle nerwowo wzrasta).

Czego?... Uspokój się. To były tylko objawy hipnotyzmu.

MATYLDA.

Cóż to jest hipnotyzm?

SZAMBELAN (namyśla się i mówi po chwili).

Tym razem miał być środkiem obudzenia miłości.



MATYLDA.

Przez sen?

SZAMBELAN.

I na jawie... Ale się nie powiódł. (Po chwili).  
Wszakże widziałś w warszawskiej sali ratuszowej  
doświadczenia Donata. — Temu się udawało!

MATYLDA.

Widziałam. Ale przecież wszyscy utrzymywali,  
że to oszukaństwo, złudzenie...

SZAMBELAN.

W naszych czasach i złudzeniom wierzyć nie-  
kiedy należy. — Ot! Zdzisław... myślałem, że to  
niby taki drugi Donato...

MATYLDA.

Chyba nie on, tylko pan Ludwik, bo Terenia  
nie jego, tylko pana Ludwika kocha.

SZAMBELAN.

Ha! może i pan Ludwik. Nikt nie odgadnie te-  
raz, w którym prawdziwy hipnotyzm siedzi.

MATYLDA.

To też uciekajmy ztąd, mój drogi...

SZAMBELAN.

Ooo! uspokójże się. Nerwom nie można dawać  
panowania nad sobą. Wprawdzie babcię i Terenię  
zastaliśmy rozstrojone — tak rozstrojone — a Karla,  
August, ty... no! nawet i ja potroszę, chociaż naj-  
rozsądniejszy z całej rodziny... ulegliśmy wpływowi ich  
rozstrojenia, przyznawać się jednak do tego nie wy-  
pada. To śmieszne!

MATYLDA.

Bo ta burza...

SZAMBELAN.

Burza minęła, piasek pod nogami naszymi już suchy, a na liściach ledwie tu i owdzie wieszają się ostatnie kropelki deszczu.

MATYLDA.

A jednak tak ciężko oddychać. Lękam się...

SZAMBELAN.

Przyznaję, że jest... jest coś... co przejmuję dreszczem i niepokoi, ale ja to przypisuję nie rzeczom nadprzyrodzonym, lecz prądom rewolucyjnym, płynącym tuż — tuż koło nas, a które przykrywają się dla niepoznaki mgłami hipnotyzmu. Powiadam ci, ten dom patryotyczny musi być ogniskiem rewolucyi; bo jeśli obecnie czuję się jakiś nie swój, to jedynie dla tego, że węższą coś podobnego do nowego powstania.

MATYLDA.

Boże! mój Boże!

SZAMBELAN.

Ale ty się nie bój, bo ty na tem poznać się nie możesz...

MATYLDA.

Tem gorzej...

SZAMBELAN (bardzo cicho).

A trzeba koniecznie zachować zimną krew, bo interesu — kiedyśmy już tu przyjechali — z oczu spuszczać nie należy. Interes przedewszystkiem. (Powstaje i wskazuje ręką na hrabiego i księcia). Muszę z nimi odbyć jeszcze jedną konferencyę.

MATYLDA (zatrzymuje męża za poję).

Tylko ostrożnie! Bądź co bądź on ma urocze oczy. Boję się...

SZAMBELAN (nerwowo).

Dajże pokój! (Idzie do księcia). Mój Zdzisławie,

trzebaby pomówić szczerze, co począć w sytuacji obecnej.

KSIĄŻĘ (podnosi głowę).

O co ci chodzi?

SZAMBELAN.

Twierdzą, że należałoby się porozumieć...

KSIĄŻĘ.

Wszelkie porozumienia uważam teraz za zbyteczne.

SZAMBELAN.

Ależ...

KSIĄŻĘ (powstaje).

Przepraszam cię. Mam migrenę... przejść się muszę. (Pozostawia gazetę na stole i odchodzi szpalerem na lewo).

SZAMBELAN (do siebie, patrząc za nim).

Pi, pi!... migrena na zawołanie. (Po chwili idzie do hrabiego i siada przy nim na ławce). Mój Auguście...

HRABIA (jakby przebudzony).

Co?!

SZAMBELAN.

Trzeba przecież pogadać o interesach... porozumieć się...

HRABIA.

Żartujesz chyba!...

SZAMBELAN.

Ależ...

HRABIA (powstaje).

Przepraszam... głowa mnie boli. (Odchodzi szpalerem na lewo).

SZAMBELAN (po chwili z oburzeniem).

Cóż u licha mnie boleć powinno, jeśli was głowa boli?! Ja przecie tracę dwakroć stotysięcy! (do Matyldy) Słyszałaś?!... Milczą, siedzą jak mruki, gazety czytają, a kiedy się do nich zwracam z rozsądną propo-

zycyą, to powiadają, że ich głowa boli i odchodzą. (Bierze gniewnie dziennik z ławki, na której siedział hrabia). Co on czytał tak zajmującego, że aż go głowa rozboleła?... Po zmięciu papieru łatwo odgadnąć: sprawozdanie z prelekcji na Osady Rolne. (czyta). »Osoby podlegające somnambulizmowi żyją dwojakim życiem, to jest w stanie normalnym i w stanie hipnotycznego uśpienia. Po przebudzeniu, jedne nie przypominają sobie nic z tego co się im śniło, inne przeciwnie z sennych widziadeł wysnuwają reguły postępowania...«

MATYLDA (przerywając).

To tak jak Terenia!

SZAMBELAN (czyta).

»Widzenia ich można nazwać halucynacyami sennymi, gdy zwykle halucynacje zowiemy snem na jawie.«

MATYLDA (która się zbliżyła).

Czy tak je zowiemy w istocie?

SZAMBELAN (wzrusza ramionami i czyta dalej).

»Odrębny charakter posiadają halucynacje senne i posenne. Zarówno w halucynacjach na jawie, jak w widzeniach sennych i posennych działanie ośrodków wewnętrznych miesza się z wrażeniami obwodowymi«. (mówi). Nic a nic nie rozumiem.

MATYLDA.

I ja też!

SZAMBELAN (wzrusza ramionami).

Zkądże u licha miałabyś rozumieć?!... To są przecie rzeczy naukowe! (Czyta dalej). »Błask rzucający się w oczy, szmer dolatujący do ucha, podrażnienie hipnotyczne wywołują obrazy niezgodne z rzeczywistością i wydobywają wyobrażenia, utajone w głębi ducha«.

MATYLDA (powtarza bezmyślnie, a jednak jakby rozważała).

Utajone w głębi ducha!

SZAMBELAN (czyta).

»Halucynacya jest procesem umysłowym, który się odbywa bez pobudek, dostarczanych przez wrażenia zmysłowe rzeczywiste«. (Mówi). Nie podobna wszystkiego czytać, boby się człowiekowi całkiem w głowie pomieszało. Przeskakujmy!... Aaa! widzę tu wyraz podkreślony, o którym pierwszy raz słyszę: telepatya. (Czyta). »Telepatyą nazywamy przenoszenie uczuć, myśli i wyobrażeń z jednego ośrodka mózgowego do innego, na odległość«.

MATYLDA (zadumana, przykładła palec do czoła).

Ośrodka mózgowego!

SZAMBELAN.

Czego szukasz?

MATYLDA.

Ośrodka.

SZAMBELAN (wzrusza ramionami).

Nie szukaj... nie znajdziesz! (Czyta). »Ktoś na przykład umiera, albo postanawia życie sobie odebrać, obraz zaś jego lub okoliczności, towarzyszące przygotowaniu do samobójstwa, występują w formie halucynacyi u osoby oddalonej, dajmy na to u syna, córki, brata, kochanki...«

MATYLDA.

I żony.

SZAMBELAN.

O żonie nie ma tu mowy.

MATYLDA.

Dlaczego?

SZAMBELAN (nerwowo).

Albo ja wiem! Dajże pokój — nie przerywaj!  
(Czyta, sens kończąc). »Jest to halucynacya telepatyczna«.

MATYLDA (jakby wszystko nagle zrozumiała).

Telepatyczna!

SZAMBELAN.

Zrozumiałaś?

MATYLDA.

Ani trochę.

SZAMBELAN (ironicznie, wruszając ramionami).

Myślałem, żeś zrozumiała! (Czyta). »Teorya telepatyi jest konglomeratem kilku hipotez«. (Mówi). Nie mam cierpliwości czytać dalej... (Po chwili). A jednak ta zadrukowana bibuła hipnotyzuje także, przyciąga. Oczu od niej oderwać nie mogę. (Czyta). »Doświadczenia z osobami znajdującymi się w śnie hipnotycznym stwierdzają fakt przesyłania myśli lub wyobrażeń na odległość«. (Mówi). Coś tak niby telegraf!

MATYLDA.

Czy myślisz, że ja sobie zdaję sprawę z telegrafu?!

SZAMBELAN.

Nie myślę, broń Boże!

MATYLDA (nadąsana).

O! bo ty mnie już masz za taką głupią!

SZAMBELAN.

Ależ nie; cieszę się, że nie chcesz być... Ba! ba! jeszcze czego! Piękniebym wyglądał, gdyby moja Madzia, moja pocziwa Madzia poświęciła się badaniu telegrafu i elektryczności. Ależ wtedy jabym umarł ze strachu!

MATYLDA (naiwnie wzruszona, przykładła mu dłoń do ust).

Cicho! nie żartuj tak szkaradnie. Na samą myśl o twojej śmierci zimny dreszcz mnie przejmuję. Och! obawiam się... lękam... o ciebie... ciebie jedynie... nikt inny mnie nie obchodzi.

SZAMBELAN.

Ooo! tylko się nie rozczulaj. (Wzrusza ramionami i czyta). »Do tego procesu potrzeba koniecznie sympaty. Osoby obce lub obojętne dla siebie porozumiewać się przecuciem nie mogą« (Mówi). A! tego to już zanadto! Jakże ludzie nie mają waryować, kiedy najpoczytniejsze organa naszej prasy takie szaleństwa drukują. (Idzie do stołu, przy którym siedział książę). Pewny jestem, że i ex-powstaniec zabawiał się podobną lekturą. (Bierze do rąk gazetę). Patrz!... a co?... czy nie mówiłem! (Czyta). »Z dziedziny hipnotyzmu« (Mówi). Z czegożby innego?... Dziś w gazetach piszą tylko o hipnotyzmie, spirytyzmie, okultyzmie, symbolizmie, a do tej ślicznej kompanii przybyła jeszcze obecnie jakaś — telepatya. Bodaj was! (Czyta). »Nie wszyscy ludzie, twierdzi słynny M. J. Leveillé, są jednako skłonni do poddawania się sugestyi hipnotycznej. Niektóre media, silne cnotą i zasadami, mogą opierać się woli hipnotyzera. Najsurowszy nacisk z jego strony, najumiejętniejsze podsuwanie zamysłów i planów, nie zmusi człowieka szczerze uczciwego do popełnienia zbrodni, ani osoby, posiadającej głębokie uczucia i przekonania do zaparcia się ich na rzecz narzucanych, sprzecznych z jej sympatjami i pojęciami«.... (Mówi). No! teraz rozumiem. To twierdzenie zmartwić go musiało... i dlatego dostał migreny.

MATYLDA.

Więc cóż?

SZAMBELAN (nerwowo).

A cóż? widzę, że dwakroć stotysięcy fiut! — ulotniły się, moja droga! Trzeba będzie pałac kończyć

za własne pieniądze. Z rewolucją walczyć nie sposób, a czuję, że to jakaś rewolucyjna sprawa. O! mam ja węż nielada i nie telepatyczne przeczucie na odległość. Znam się na takich niby Zefirkach, co to nagle zmieniają się w Akwilony i Boreasze, wywracające cały porządek społeczny. Już na wystawie powszechnej w Paryżu, przed wojną francusko-niemiecką skonstatowałem, że tron Napoleona III się chwieje, a hrabinie de Los Montes Alico di Segrados, damie dworu królowej Izabelli, przepowiedziałem komunę.— Dobrze, że nie przypiąłem dziś orderów. (Spogląda na klapy od surduta). Nawet wstążeczki odpruję... Chodź! pójdziemy je odpruć. (Spostrzega Ludwika zstępującego z ganku po schodach). A! Pan Ludwik. Cóż tam słychać? jakże się ma Terenia?

SCENA 2.

CIŻ SAMI. — LUDWIK.

LUDWIK (głosem poważnym i wzruszonym).

Śpi... śpi spokojnie.

SZAMBELAN (roztargniony).

Bardzo się cieszę.

LUDWIK (j. w.)

Hrabina prosiła mnie, abym się oddalił, abym nie był przy przebudzeniu, którego panna Petronella spodziewa się za chwilę. Czuwają obie nad uspioną — a z niemi pani kasztelanowa i mój wuj. (Z radością). Nie ma najmniejszej obawy...

SZAMBELAN (przerywa, zasłaniając wstążeczki orderowe).

Tem lepiej, tem lepiej. Ja z Madzią idziemy przygotować się do podróży. Dziś jeszcze wyjeżdżamy na Podole.

MATYLDA (klaszcząc w ręce).

Dziś!... ach! jak to dobrze!



SZAMBELAN (nerwowo).

Czy dobrze — nie wiem; ale tak trzeba, tak trzeba. Nie chcemy nikomu w drogę wchodzić, nie pragniemy niczych planów krzyżować. Telepatyą i hipnotyzmem nie zajmujemy się wcale. Nadprzyrodzonych tajemnic badać nie myślimy, choćbyśmy w nich nawet dostrzedz mieli — polityczne plany. A nam co po tem! W zasadzie, a również i w praktyce — z każdym tryumfującym systemem czy programem zgodzić się umiemy. (Do Matyldy). Mam lekki zawrót głowy. Chodźmy! (Zwraca się do Ludwika). Obejdziemy dwór w około, żeby nikomu nie przeszkadzać, żeby nikogo nie budzić. Jesteśmy delikatni i wyrozumiali. Wszakże drzwi do gościnnych pokoi, w których nas ulokowano, położone są z przeciwnej strony domu, wprost wielkiego orzecha, pod którym siedzieliśmy rano?

MATYLDA.

Ale tak, tak — ja cię zaprowadzę. Przecież tu się urodziłam i wychowałam.

SZAMBELAN (j. w.)

Tem lepiej, tem lepiej. (Wskazuje na czoło). Mam lekki zawrót głowy... coś niby migrenę. (Zwracając się znowu do Ludwika). O konie do stacyi prosić będziemy...

LUDWIK (zdziwiony).

Mnie?

SZAMBELAN.

Zastępujesz we wszystkim panią domu — babkę mojej żony — naszą szanowną i kochaną babcie.

LUDWIK.

Pewny jestem, że pani kasztelanowa na tak nagły wyjazd państwa nie zezwoli.

MATYLDA (błagalnie, składając ręce).

Panie Ludwiku!

LUDWIK.

Daruje pani, ale bez rozkazu jej babki, w tym względzie nic uczynić nie mogę. Znam gościnność kasztelanowej... (Rozmawia dalej z Matyldą po cichu).

SZAMBELAN (na str.)

Masz tobie! jest i staropolska gościnność! Teraz na złość zatrzymać gotowi, właśnie kiedy straciłem humor — mam migrenę — i pragnę wyrwać się ztąd jak najspieszniej, bo czuję, że słusznie mi należnych pieniędzy nie dadzą i gotowi jeszcze wywołać nową awanturę polityczną. I temu chmurnemu, zwykle milczącemu paniczowi patrzy z oczu rewolucyjka, a może i cała rewolucya! (Głośno). Ha! Madziu, jeśli pan nie chce uczynić zadość twojej uprzejmej prośbie, to chodźmy do siebie. Dłuższe naleganie z naszej strony byłoby niewłaściwem i niedyskretnem. Tam, w izdebkach dla nas przeznaczonych, oczekiwać będziemy cierpliwie na rozkazy twojej przezacnej babci. (Kłania się, bierze Matyldę pod ramię i pełen udawanego spokoju i sztucznej powagi wychodzi głębia, na prawo, okrążając narożnik dworu).

SCENA 3.

LUDWIK (sam).

Rzecz dziwna! Ci ludzie zwykle tacy swobodni, weseli, zadowoleni z siebie, nie sięgający myślą po za granice potrzeb materialnych i przyjemności zmysłowych, wydają mi się obecnie przejęci wielką, chociaż ukrywaną trwogą. Czytałem na ich twarzach obawę, podobną do tej, jaką wyradza przecucie zbliżającego się nieszczęścia. Przecież nie lękają się o Terenię! — zbyt samolubne mają na to serca. A jednak zmienieni są, rozdrażnieni, zaniepokojeni. (Chw. mil.) W takim usposobieniu i ja byłem dziś rano. (Marzy). Teraz nie, nie, nie. Przeciwnie błogi spokój napełnia moją duszę, bo wiem, że sen — w którym pogrążona — krzepi ją i uszczęśliwia. A szczęście, przez nią doznawane,

płynie tu do mnie, po burzy, na fali ciepłego powiewu.  
— Tak lekko oddychać! błękit nieba taki przejrzysty.  
W złotych promieniach jaśniejszego niż codzień słońca,  
stary nasz ogród wydaje mi się piękniejszy, weselszy... o! bo ona mnie kocha, kocha! Ileż rozkoszy  
w tym wyrazie!

SCENA 4.

LUDWIK. — PETRONELLA.

PETRONELLA (ukazuje się na ganku).

Panie Ludwiku! panie Ludwiku!

LUDWIK (drgnął).

Słucham!

PETRONELLA (zchodzi).

Jak to dobrze, że pana tu zastaję. Terenia się przebudziła.

LUDWIK.

Zdrowa?... nie cierpi?

PETRONELLA.

Przecieżbym tu nie przyszła, gdyby była cierpiąca. Ot po prostu kasztelanowa kazała mi pokój opuścić pod pozorem, że trzeba posłać Grzesia po doktora, konno, do miasteczka...

LUDWIK (żywo).

Sam pojedę. (Wskazując na prawo). Widzę Józefa na końcu szpaleru. (Podbiega do prawych kulis i woła). Hej! Józefie! Józefie! niech Grześ mi konia okulbaczy, przyjdę zaraz do stajni...

PETRONELLA (zatrzymując go).

Ależ nie potrzeba — mówię, że nie potrzeba!

LUDWIK.

Jakto?

PETRONELLA.

Wiem o co idzie. Odbędzie się teraz spowiedź generalna mojej sarenki, a kasztelanowa nie chce, abym jej wysłuchała. Wyprawiła mnie zatem pod byle pretekstem. Boże! ja nie ciekawa, a Terenia nie ma sekretów. Kocha pana... to i kocha, ale nic więcej.

LUDWIK (z radością ściskając jej rękę).

O! panno Petronello!

PETRONELLA.

Posłuchaj! Ledwie oczy rozwarła, rzuciła się zapłakanej babce na szyję, zaczęła ją pieścić, całować, przymilać się, jak aniołek jaki... i tem ją rozbroiła. Spostrzegłam, że staruszka się rozchmurza, że przede-wszystkiem raduje się nagłym uzdrowieniem wnuczki, a o gniewie i żalu zapomina... jak prawdę kocham.

LUDWIK.

Więc nie znużona... nie senna... w istocie nie chora?

PETRONELLA.

Nie, nie — przeciwnie. Nigdy piękniej nie wyglądała; wesoła, szczęśliwa, swobodna, a na białych policzkach, jakby kto karminem delikatne rumieńce pomalował — aż miło patrzeć! Napieściwszy się z panią kasztelanową, uściskała mnie serdecznie, gorąco — (z naciskiem) przy wszystkich — i zapewniła, że już z przecuciami i snami proroczemi pożegnała się na zawsze...

LUDWIK (z lekkim odcieniem żalu).

Pożegnała się na zawsze!

PETRONELLA.

A ja, chociaż nieraz jej piosnkę — Boże przebac — śpiewałam, ucieszyłam się tem bardzo, bo po okropnych przejściach dzisiejszych widzi mi się, że

lunatyzm — czy jak go tam zowiecie — to niby okno otwarte na rozległe widoki, ale w noc ponurą i ciemną...

LUDWIK (zamyślony).

Bardzo ciemną...

PETRONELLA.

Widać przez nie wprawdzie świat zaziemski, ale co w nim mgłą, a co rzeczywistością nikt chyba nie odgadnie...

LUDWIK (j. w. z westchnieniem).

Przecucia... tylko przecucia!...

PETRONELLA.

Tak — a czasem złudzenia... mary... widziadła..

LUDWIK (z odcieniem radości w głosie).

Przecucie jednak mówiło mi, że dziś nic złego stać się jej nie może.

PETRONELLA.

Tym razem, dzięki Bogu, nie omyliło. Ale co dalej?

LUDWIK.

Jakto, co dalej?

PETRONELLA.

No, a to projektowane małżeństwo z księciem?

LUDWIK (zakrywa oczy dłonią).

Pojadę po doktora.

PETRONELLA.

Ha! jedź kiedy chcesz koniecznie. Wolisz nie myśleć o grożącym niebezpieczeństwie. Pewno serce bije mocno, a głowa w płomieniach. Przejazdźka konna może ją ochłodzi. O! znam ja stan taki, znam — z doświadczenia (z westchnieniem) ...jak prawdę kocham.

LUDWIK.

Wróczę za kwadrans...

PETRONELLA.

E! kasztelanowa nie miała by już Boga w sercu, gdyby was rozłączyć chciała!

LUDWIK (do końca sceny mocno roztargniony).

Nie wiem... nic nie wiem... jadę... i wnet powracam.

PETRONELLA (powtarzając za nim z przekąsem).

Nic nie wiem, nic nie wiem... Wy wszyscy tacy! Niech sobie biedna dziewczyna głowę łamie, niech jej serce z bólu pęknie, a ja w najkrytyczniejszej chwili pojedę konno, użyć świeżego powietrza... Oj! egoiści, egoiści!

LUDWIK.

Ależ...

PETRONELLA.

Szczęściem, że ma ona woli i siły duszy za dwoje. Zaraz po przebudzeniu szukało sobie biedactwo sprzymierzeńców. Po babce i po mnie, wyczuwała Karolę, która, o ile mi się zdaje, za księciem nie przepada. Nie zapomniała nawet o rejencie... uścisnęła mu dłoń... jak prawdę kocham.

LUDWIK.

Uścisnęła dłoń mego wuja?

PETRONELLA.

Musiał on tam za panem przemawiać, bo w ciągu całego snu Tereni spowiadał się kasztelanowej do ucha... po cichu... długo...

LUDWIK.

A ona... a ona?

PETRONELLA.

Słuchała go poważna, surowa, zamyślona.

LUDWIK.

Nie odpowiadała?

PETRONELLA.

Milczała, jak statua. O! bo nikt, prócz może jednej mojej sarenki, uporu jej przełamać nie zdoła. — Jak myślisz? kto postawi na swoim: kasztelanowa, czy Terenia?

LUDWIK.

Nie wiem... nie wiem...

PETRONELLA.

Aaa! to już pan jedź z Bogiem, bo doprawdy słuchać nie miło! (Ludwik wybiega na prawo. — Petronella za nim patrzy, kręcąc głową). Waryat!... istny waryat! Ach! ci zakochani! (Zwraca się ku stołom i ławkom i zaczyna zbierać gazety).

#### SCENA 5.

PETRONELLA. — Po chwili z dworu wychodzi KASZTELANOWA, prowadzona przez KAROLINĘ i TERENIĘ. — Za nimi postępuje REJENT.

KASZTELANOWA (idąc ku lipie).

Panno Petronello! chciej poprosić tu księcia, a sama udaj się do jadalnego pokoju i przeczytaj uważnie dzienniki. Powiesz mi co donoszą — ale nie zaraz; później — dopiero jak cię wezwę.

PETRONELLA.

Dobrze, pani kasztelanowo; zbierałam je w tym celu. (Ogląda się). Tylko, gdzie księżę być może? A! widzę go... widzę... (Wybiega na lewo. — Karolina i Terenia przyprowadziły babkę do ławki pod lipą. — Kasztelanowa obu dziękuje uściśnieniem ręki, a Terenię całuje w czoło).

KASZTELANOWA (z westchnieniem).

O! co ja przez ciebie wycierpiałam!

TERENIA.

Babuniu moja najdroższa! (Całuje jej rękę).

KASZTELANOWA.

Już nic... nic... nic. (Pociąga do siebie Karolinę i całuje ją w czoło). Byłaś dla mnie dobrą w okropnej chwili. Dziękuję ci. (Karolina z łkaniem, nad którym zapanować pragnie, tuli się do babki). Uspokój się, uspokój... widzisz, żeśmy wszyscy smutni.

TERENIA.

Och! babciu, jedno twoje słowo radość przywrócić może.

KASZTELANOWA.

Na słowo to — nie czas jeszcze.

REJENT (stojący nieco dalej, wyciąga ku niej błagalnie dłonie).

Pani kasztelanowo!

KASZTELANOWA.

Jeszcze nie czas. (Siada. — Ręką wskazuje wnuczkom, aby się usunęły na bok, a skinieniem przywołuje rejenta. — Karolina i Terenia podały sobie dłonie i odchodzą na prawo). Jeszcze nie czas!... Duchem modłę się, Boga proszę o radę, bo nie wiem, co czynić... nie wiem.

REJENT.

Czy moje wyznanie nie przekonało cię pani?

KASZTELANOWA.

Nie.

REJENT.

A sen panny Teresy, który je potwierdził?

KASZTELANOWA.

Sen mara...

REJENT.

Nie wierzysz?

KASZTELANOWA.

Nie.

REJENT.

Cóż uczynić... co uczynić, abys uwierzyła?



KASZTELANOWA.

Czekać.

REJENT.

O!

KASZTELANOWA.

Znasz mnie, znasz!... Chociaż złamaliście udęczeniem, twardą mam duszę, w smutku i cierpieniach zahartowaną. Ja jedną kocham, o nią się lękam. Nie chcę, aby to biedne dziecko miało los do mego podobny — nie chcę, nie chcę, nie chcę. Nie o zemstę mi już idzie, ani o sprawiedliwość, lecz o jej szczęście tylko.

SCENA 6.

CIŻ SAMI. — KSIĄŻĘ.

KSIĄŻĘ (wchodzi z lewej. Chwilę się waha do kogo pierwszej ma się zbliżyć: do kasztelanowej czy do Tereni.— Po namyśle idzie do kasztelanowej, pochyla się i mówi ze wzruszeniem).

Pani kasztelanowo, zwracam dane mi słowo.

KASZTELANOWA.

Mości książe, pewno rozumiesz, jak mocno żałuję, że związek ułożony nie może przyjść do skutku. Widocznie Bóg tego nie chciał!...

TERENIA (zbliżyła się do księcia i podała mu rękę).

Dziękuję.

KAROLINA (n. str.).

Zkąd w niej taka śmiałość!

KSIĄŻĘ (mocno wzruszony).

Teraz chyba pani uwierzy, że pragnąłem tylko jej szczęścia.

SCENA 7.

CIŻ SAMI. — SZAMBELAN, MATYLDA.

MATYLDA (przeżona, wbiega z prawej, za nią zadyszany Szambelan).

Straszna rzecz! okropna! pan Ludwik dosiadł jakiegoś dzikiego konia, który go unosi... pewno zrzuci...

SZAMBELAN.

Pędzi w stronę zamkniętej bramy. Jeśli nim w nią uderzy...

PETRONELLA (za sceną).

Spadł!... ratunku! pomocy!... wody!

REJENT (z krzykiem).

Moje dziecko! (Wybiega, za nim ksiączę.)

TERENIA (z boleścią).

Boże! (Wybiega).

KASZTELANOWA (powstaje i mówi do siebie).

Tylko z piersi ojca mógł wyrwać się taki głęboki krzyk boleści!... Gdzie Terenia? — także pobiegła. Kocha go... (po chwili) Karlo! co się dzieje?

KAROLINA (która pobiegła w głąb sceny i patrzy na prawo).

Leży omdlony... Rejent padł przy nim na ziemię... Znosi się od płaczu... Petronella i Terenia cucą pana Ludwika. Otwiera oczy... August wraca od studni z dzbankiem w ręku... O! babciu, widocznie nic mu nie grozi... Odzyskał zmysły, uśmiecha się do Tereni, wyciąga do niej dłoń... Podnoszą go... Nie! — sam powstaje... Porusza się swobodnie... Idzie tu... idzie...

KASZTELANOWA (kreśli znak krzyża świętego na piersi).

Bogu niech będzie chwała! (Wychodzi na środek sceny, patrząc wciąż na prawo za kulisy). Pierwszy raz spostrze-

gam w jego twarzy wielkie podobieństwo... Tak, tak, tak, te same rysy!... (Kreśli znowu znak krzyża świętego na piersi).  
Bądź wola Twoja, jako na ziemi, tak... (kończy szeptem).

SCENA 8-ma i ostatnia.

KASZTELANOWA, SZAMBELAN, MATYLDA, KAROLINA, HRABIA,  
KSIĄŻĘ, LUDWIK, TERENIA, PETRONELLA.

(Pierwsza chwila wytwarza ogólne zamięszanie. Wszyscy z kolei ścisną rękę Ludwika, otaczają go).

REJENT (płacząc tuli Ludwika do piersi).

Moje dziecko! moje drogie dziecko!

KASZTELANOWA (zbliża się i mówi wzruszona. — Wszyscy się rozstępują).

Panie Ludwiku, nic ci nie jest... nic?

LUDWIK (kulejąc trochę).

Lekkie stłuczenie nogi. — O! doprawdy dowody współczucia, jakie państwo mi okazujecie...

KASZTELANOWA (bierze go za rękę i mówi żywo).

Słuchaj! Powiedz: kochasz Terenię... bardzo?

LUDWIK (z szczerością i prostotą).

O!... Kocham.

KASZTELANOWA.

Oddaję ci ją za żonę.

REJENT i LUDWIK (razem).

Ach! (Każdy z nich chwyta jedną rękę Kasztelanowej i całuje z uniesieniem).

TERENIA (rozrzewniona).

Dopuście i mnie do babuni, do mojej najdroższej, najłepszej babuni. (Rzuca się przed Kasztelanową na kolana).

KASZTELANOWA (pochyla się nad nią i bierze jej twarzyczkę w dłoń).

A ty go kochasz?... bardzo? więcej odemnie?

TERENIA.

Jak ciebie.

KASZTENANOWA.

I będziesz szczęśliwa?

TERENIA.

Najszcześniejsza.

KASZTELANOWA.

I zdrowa?

TERENIA.

Zupełnie. Po raz ostatni śniłam dzisiaj. Snem moim niebieskim obecnie — radosna rzeczywistość.

KASZTELANOWA (podnosi ją i łączy jej rękę z ręką Ludwika).

Masz. Bierz ją. A nie opuszczajcie mnie dopóki oczu nie zamknę.

LUDWIK.

Pozostaniemy przy tobie zawsze.

KASZTELANOWA (odprowadza reagenta).

Cóż stary przyjacielu, czy jesteś zadowolony?

REJENT (łkając po cichu).

Nie mogę... nie mogę wyrazić... mojej wdzięczności...

KASZTELANOWA (po cichu).

No! no... nie zdradzaj się. Patrz na nas. (Prowadzi go do Szambelana i Matyldy). Wypłacisz im sumę żadaną.

MATYLDA.

O! babuniu kochana!

SZAMBELAN (stara się ująć ją za rękę).

Przezacna babciu, szanowna matrono...

KASZTELANOWA (cofa rękę ze wstrętem).

Nie mnie... Tereni podziękujcie. (Prowadzi Reagenta do Hrabiego i Karoliny). Wypłacisz im tyleż co tamtym.

HRABIA (z westchnieniem, jakby zrzucił straszny ciężar z piersi).

Och!... Wyjedziemy... Przeszłość hańbiącą zmażę...

KASZTELANOWA (do Karoliny).

Dobłą byłaś dla mnie. Po mojej śmierci Terenia o tobie nie zapomni. Panie Rejencie, co do tego wpiszesz osobne postanowienie w testamencie. (Całuje ją w czoło).

KAROLINA.

Babuniu! twój pocałunek najdroższym skarbem dla mnie.

KASZTELANOWA.

Wiem, wiem. (Idzie do księcia). Mości książe, ciebie przepraszam. Chciałam inaczej, Bóg inaczej rozrządził.

KSIĄŻĘ.

O! pani kasztelanowo...

KASZTELANOWA.

Powinłam była pamiętać, że człowiek układa plany, ale ktoś wyższy ma władzę je pokrzyżować, dzieło zemsty zmienić w przebaczenie... lub miłosierdzie. (Po chwili). Co zamyślasz uczynić?

KSIĄŻĘ.

W kraju nie mam co robić. Wyczytałem w dziesięciu dziennikach, że na drugiej półkuli, dwie republiki walczą z sobą obecnie. Żołnierz z krwi i usposobienia zaciągnę się do zbrojnych szeregów jednej z nich, aby wyćwiczyć się w rzemiośle wojennym, a może kiedyś ojczyzna mieć będzie we mnie godnego siebie obrońcę...

KASZTELANOWA.

To pięknie, to dobrze!

SZAMBELAN.

A ja chciałem ożenić cię z Rozprzycką.

KSIĄŻĘ (grzecznie, ale z ironią).

Dziękuję — ale, jak słyszałeś, już sobą rozporządziłem.

(Kasztelanowa, zmęczona, idzie ku ławce pod lipą. — Wszyscy malowniczo ugrupowani tworzą obraz na tle ogrodu).

KASZTELANOWA (jakby sobie coś przypomniała).

Panno Petronello!

PETRONELLA.

Słucham! (Idzie ku kasztelanowej, trzymając gazety w ręku).  
Z oczu pani kasztelanowej wnoszę, że to o gazety chodzi. Mam powiedzieć co z polityki słysząc. Czytałam, dalipan czytałam, ale jak prawdę kocham mówić nie mogę. Jestem taka szczęśliwa... Przecież ja Terenię wychowałam...

TERENIA (rzuca się jej w objęcia).

Moja ty dobra!

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA (Zasłona spada).  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

Kraków, dnia 8 maja 1892 r.





**Odbito 100 egzemplarzy.**

**Cena 2 złr. w. a.**









F

2999